

BOLESŁAW PRUS

---

GRZECHY  
DZIECIŃSTWA



**Bolesław Prus**

# **Grzechy dzieciństwa**

.....

**Fundacja Festina Lente**

Urodziłem się w epoce, kiedy każdy człowiek musiał mieć przydomek, choćby niekoniecznie słuszny.

Z tego powodu naszą dziedziczkę nazywali hrabiną, mego ojca jej plenipotentem, a mnie bardzo rzadko Kaziem albo Leśniewskim, ale dość często urwisem, dopóki byłem w domu, albo osłem, kiedym już poszedł do szkół.

Ponieważ na próżno szukałby kto nazwiska naszej dziedziczki w słowniku rodzin arystokratycznych, zdaje mi się więc, że blask jej hrabiowskiej korony nie sięgał dalej niż plenipotencja mego śp. ojca. Przypominam sobie nawet, że tytuł hrabiny był rodzajem pomnika, którym śp. mój ojciec uczcił radosny wypadek podwyższenia mu pensji rocznie o sto złotych. Nasza pani w milczeniu przyjęła ofiarowaną jej godność, a w kilka dni później ojciec mój awansował z rządcy na plenipotentę i otrzymał zamiast dyplomu niesłychanej wielkości wieprzka, po sprzedaniu którego kupiono mi pierwsze buty.

Ojciec, ja i moja siostra Zosia (bom już nie miał matki) mieszkaliśmy w murowanej oficynie, o kilkadziesiąt kroków od pałacu. Pałac zaś zajmowała pani hrabina z córeczką Lonią, moją rówieśniczką, z jej guwernantką, ze starą gospodynią Salusią, tudzież z wielką liczbą garderobianych i panien służących. Dziewczęta te po całych dniach szyły, z czego wyprowadziłem wniosek, że wielkie panie są od tego, żeby darły odzież, a dziewczęta — ażeby ją naprawiały. O innych przeznaczeniach wielkich dam i ubogich dziewcząt nie

miałem pojęcia, co w oczach ojca stanowiło jedyną moją zaletę.

Pani hrabina była młodą wdową, którą mąż dość wcześnie pograżył w nieutulonym smutku. O ile mi wiadomo z tradycji, nieboszczyka nikt nie tytułował hrabią ani on nikogo plenipotentem. Natomiast sąsiedzi z dziwną w naszym kraju jednomyślnością nazywali go półgłówkiem. W każdym razie był to człowiek niepospolity. Zajeżdżał wierzchowe konie, tratował na polowaniach chłopskie zasiewy, a z sąsiadami pojedynkował się o psy i zające. W domu męczył żonę zazdrością, a służbie zatruwał życie długim pieprzowym cybuchem. Po śmierci oryginała jego wierzchowce poszły do wożenia gnoju, a psy rozdarowano. Świat zaś otrzymał po nim w spadku małą córeczkę i młodą wdowę. Ach! przepraszam, bo został jeszcze olejny portret nieboszczyka z herbowym sygnetem na palcu i — ów pieprzowy cybuch, który, skutkiem niewłaściwego użycia, wygiął się jak turecka szabla.

Pałacu prawie nie znałem. Raz dlatego, że wolałem biegać po polach niż wywracać się na śliskiej posadzce, a po wtóre, że mnie tam nie wpuszczała służba, bo przy pierwszych odwiedzinach miałem nieszczęście stłuc duży wazon saski.

Z hrabianką przed moim wejściem do szkół bawiliśmy się tylko jeden raz, mając oboje niespełna po dziesięć lat. Przy sposobności chciałem ją nauczyć sztuki łażenia po drzewach i usadowiłem ją na żerdziowym płocie w taki sposób, że dziewczynka poczęła wniebogłose krzyczeć, za co jej guwernantka wybiła mnie niebieskim parasolem, mówiąc, że mogłem Lonię zrobić na całe życie nieszczęśliwą.

Od tej pory zbudził się we mnie wstręt do małych dziewcząt, z których żadna nie była w stanie ani łazić po drzewach, ani kapać się ze mną w stawie, ani jeździć konno, ani strzelać z łuku albo rzucać kamieni z procy. W razie zaś

bitwy — bez której cóż znaczy zabawa! — prawie każda zaczynała mazać się i biegła do kogoś na skargę.

Ponieważ z folwarcznymi chłopcami ojciec znowu nie pozwalał mi się wdawać, a siostra prawie całe dni przepędzała w pałacu, więc rosłem i hodowałem się sam jak drapieżne pisklę, które porzucili rodzice. Kąpałem się pode młynem albo w dziurawym czólnie pływałem po stawie. W parku ze zwinnością kota goniłem po gałęziach wiewiórki. Raz wywróciło mi się czółno i pół dnia przesiedziałem na pływającej kępie, nie większej od balii. Raz przez dymnik wdrapałem się na dach pałacu tak nieszczęśliwie, że musiano związać dwie drabiny dla sprowadzenia mnie stamtąd. Innego dnia całą dobę błąkałem się po lesie, a jeszcze innego stary wierzchowiec nieboszczyka dziedzica, przypomniawszy sobie lepsze czasy, z godzinę ponosił mnie przez pola i w końcu — zapewne niechcący — przyprawił o złamanie nogi, która zresztą zrosła mi się dość prędko.

Nie mając z kim żyć, żyłem z naturą. Znałem w parku każde mrowisko, w polu każdą jamę chomików, w ogrodzie każdą ścieżkę kretów. Wiedziałem o ptasich gniazdach i o dziuplach, gdzie hodowały się młode wiewiórki. Odróżniałem szmer każdej lipy około domu i umiałem wyśpiewać to, co wiatr wygrywa na drzewach. Nieraz słyszałem jakieś wiekuiste chodzenie po lesie, choć nie wiedziałem, czyje ono. Wpatrywałem się w migotanie gwiazd, rozmawiałem z nocną ciszą, a nie mając kogo całować, całowałem psy podwórzowe.

Matka moja dawno odpoczywała w ziemi. Już nawet pod przyciskającym ją kamieniem zrobił się otwór sięgający pewnie aż do wnętrza grobu. Raz, kiedy mnie za coś obito, poszedłem tam, wzywałem jej, nadstawiałem ucha, czy nie odpowie... Ale nie odpowiedziała nic. Widać, naprawdę umarła.

W owym czasie tworzyłem sobie pierwsze pojęcia o ludziach i o ich stosunkach. W mojej na przykład wyobraźni plenipotent musiał koniecznie być trochę otyły, mieć rumianą twarz, wąż zwieszony, duże brwi nad siwymi oczami, basowy głos i przynajmniej taką zdolność do krzyczenia — jak mój ojciec. Osoby zwanej hrabiną nie mogłem wyobrazić sobie inaczej, tylko jako wysoką damę, z piękną twarzą i smutnymi oczyma, chodzącą w milczeniu po parku w białej powłóczystej sukni.

Za to o człowieku noszącym tytuł hrabiego nie miałem pojęcia. Podobny człowiek, gdyby nawet istniał, wydawał mi się rzeczą mniej znaczącą od hrabiny, a nawet całkiem nieużyteczną i nieprzyzwoitą. Według moich poglądów, tylko w obszernej sukni z długim ogonem mógł przemieszkować majestat jaśnie wielmożności; wszelkie zaś odzienia krótkie, obcisłe, a tym bardziej złożone z dwu części mogły służyć tylko pisarzom prowentowym, gorzelnikom, a w najlepszym razie plenipotentom.

Taki to był mój legitymizm oparty na przykazaniach ojca, który nieustannie zalecał mi — kochać i czcić panią hrabinę. Zresztą gdybym kiedy zapomniał o tych przepisach, dość mi było spojrzeć na czerwoną szafę w kancelarii ojca, gdzie, obok kwitów i notatek, wisiała na gwoździu pięciopalczasta dyscyplina, wcielenie zasad społecznego porządku. Stanowiła ona dla mnie pewien rodzaj encyklopedii, na którą patrząc, przypominałem sobie, że nie należy drzeć butów, ciągnąć źrebiąt za ogony, że wszelka władza pochodzi od Boga itd.

Ojciec mój był człowiek niezmeńczony w pracy, nieskazitelnie uczciwy, a nawet bardzo łagodny. Z chłopów i służby nikogo nie tknął palcem, tylko strasznie krzyczał. Jeżeli zaś był nieco surowy dla mnie, to zapewne nie bez słusznych powodów. Nasz organista, któremu raz wsypałem

do tabaki odrobinę ciemiejcy, skutkiem czego przez całą mszę świętą kichał zamiast śpiewać i wciąż mylił się w graniu, często mawiał, że gdyby miał takiego jak ja syna, to by mu strzelił w łeb.

Dobrze pamiętam to zdanie.

Panią hrabinę nazywał ojciec aniołem dobroci. Istotnie, w jej wsi nie było ludzi ani głodnych, ani obdartych, ani krzywdzonych. Komu zrobiono źle, szedł do niej na skargę; kto był chory, brał ze dworu lekarstwo; komu urodziło się dziecko, prosił dziedziczkę w kumy. Moja siostra uczyła się z hrabianką, a ja sam, choć unikałem arystokratycznych stosunków, miałem jednak sposobność przekonania się o nadzwyczajnej łagodności hrabiny.

Ojciec mój posiadał kilka sztuk broni, z której każda była przeznaczona do innego celu. Ogromna dubeltówka miała służyć do zabijania wilków, które dusiły cielecia naszej dziedziczki; skałkowy pistolet miał być użyty na obronę wszelkiej innej własności hrabiny, a wojskowy pałasz — na obronę jej honoru. Swojej własności i honoru ojciec broniłby zapewne cywilnym kijem, bo cały ów bojowy rynsztunek, co kilka miesięcy pomazany tłustością, leżał gdzieś w takim kącie na strychu, że nawet ja nie mogłem go znaleźć.

Swoją drogą wiedziałem o tej broni i bardzom do niej tęsknił. Nieraz marzyło mi się, że spełnię taki szlachetny czyn, za który ojciec pozwoli mi strzelić z ogromnego pistoletu, a tymczasem — wymykałem się do gajowych i uczyłem się „wygarniać” z ich długich pojedynków, które posiadały tę własność, że przy wystrzale wyrządzały bezpośrednią szkodę tylko moim szczękom nie tykając żadnego stworzenia.

Pewnego dnia, podczas naoliwiania dubeltówki przeznaczonej na wilki, pistoletu na obronę własności i pałasza na obronę honoru hrabiny, udało mi się ukraść ojcu garść prochu, który, o ile wiem, nie miał jeszcze specjalnego

przeznaczenia. Gdy ojciec wyjechał w pole, schwyciłem olbrzymi klucz do spichrza, który posiadał otwór podobny do lufy, tudzież dziurkę z boku, i poszedłem na polowanie.

Wielki klucz do połowy nabiłem prochem, wsypałem szczyptę połamanych guzików od niedającej się wymienić części ubrania, przybiłem jak należy pakułami, a na wywołanie eksplozji wziąłem pudło hubczanych zapalek.

Ledwie wyszedł za dom, ujrzałem kilka wron polujących na dworskie kaczęta. Prawie w moich oczach jedna ze szkodnic porwała kaczę, a nie mogąc go dość łatwo unieść, przysiadła na obórce.

Na ten widok zagrała we mnie krew przodków spod Wiednia. Podkradłem się pod obórkę, zatliłem hubkę, wymierzyłem klucz w lewe oko wrony, dmuchnąłem, podпалиłem... Huknęło — jakby piorun uderzył. Ze szczytu obórki stoczyło się już zaduszone kaczątko na ziemię, wrona dotknięta śmiertelną obawą uciekła na najwyższą lipę, ja zaś ze zdumieniem przekonałem się, że w moich rękach z wielkiego klucza zostało tylko ucho, ale za to ze słomianego dachu obory zaczyna wydobywać się niewielki kłębek dymu, jakby kto palił fajkę.

W kilka minut później obórka, wartująca około pięćdziesięciu złotych, stanęła w ogniu.

Zbiegli się ludzie, przygalopował na koniu mój ojciec, po czym, w asystencji tych wszystkich dzielnych i uczciwych osób, nieruchomość „wypaliła się do środka ziemi” — jak powiedział pan gorzelany.

Przez ten czas ze mną działy się nieopisane rzeczy. Naprzód pobiegłem do mieszkania i powiesiłem na właściwym miejscu — ucho od rozerwanego klucza. Potem uciekłem do parku z zamiarem utopienia się w sadzawce. W sekundę później zasadniczo zmieniłem projekt, postanowiłem kłamać jak prowentowy pisarz i wyprzeć się klucza, strzelania



i obórki. Gdy mnie zaś schwytano — od razu przyznałem się do wszystkiego.

Zaprowadzono mnie do pałacu. Na tarasie zobaczyłem mego ojca, panią hrabinę w powłóczystej sukni, hrabiankę ubraną dość kuso i moją siostrę, obie płaczące; potem — klucznicę Salusię, kamerdynera, lokaja, chłopca z kredensu, kucharza, kuchcika i cały rój pokojówek, garderobianych i dziewcząt. Gdym odwrócił oczy w przeciwną stronę, ujrzałem za budynkami — zielone wierzchołki lip, a nieco dalej żółtawobrunatny słup dymu, który, jakby umyślnie, unosił się nad pogorzeliem.

W tej chwili przypomniałem sobie słowa organisty, który mówił o konieczności strzelenia mi w łeb, i wywnioskowałem, że jeżeli kiedy, to chyba dzisiaj spotka mnie śmierć gwałtowna. Spaliłem oborę, zepsułem klucz od spichrza; siostra płacze, cała służba stoi w komplecie przed pałacem, cóż to więc znaczy?... Patrzyłem tylko, czy kucharz ma swoją fuzję — do jego bowiem obowiązków należało strzelanie zajęcy, tudzież śmiertelnie chorych zwierząt domowych.

Przyprowadzono mnie do samej pani hrabiny. Ona spojrzała na i mnie smutnymi oczyma, a ja, założywszy ręce w tył (jak to zwykłem był machinalnie czynić w obecności ojca), zadarłem głowę do góry, bo pani była wysoka.

W taki sposób przez kilka chwil przyglądaliśmy się sobie. Służba milczała, a w powietrzu czuć było spaleniżnę.

— Zdaje mi się, panie Leśniewski, że ten chłopczyk jest bardzo żywego usposobienia? — rzekła melodyjnym głosem pani hrabina do mego ojca.

— Łajdak!... podpalacz!... zepsuł mi klucz od spichrza! — odparł ojciec, a potem prędko dodał:

— Upadnij do nóg pani hrabiny, ty łotrze!...

I lekko popchnął mnie naprzód.

— Macie mnie zabić, to zabijcie, ale ja tam nikomu nie będę padał do nóg — odpowiedziałem, nie spuszczać oka z pani, która zrobiła na mnie dziwne wrażenie.

— Chy!... Jezu... — jęknęła zgorziona Salusia, składając ręce.

— Uspokój się, mój chłopczyku, bo tu nikt nie zrobi ci krzywdy — rzekła pani.

— Aha! nikt!... Niby ja nie wiem, że mi strzelicie w łeb... Przecie mi to obiecał organista! — odparłem.

— Chy!... Jezu... — zawołała po raz drugi klucznica.

— Hańbi moją starość — odezwał się ojciec. — Trzy skóry bym z tego gałgana zdarł i posolił, żeby go pod swoją obronę nie wzięła pani hrabina.

W rogu tarasu stojący kucharz zasłonił usta ręką i śmiał się, aż zsiniał. Nie mogłem wytrzymać i pokazałem mu język.

Służba zaszemrała ze zdziwienia, a ojciec, chwytając mnie za ramię, krzyknął:

— A ty znowu co?... Wobec pani hrabiny pokazujesz język?...

— Ja pokazałem język kucharzowi, bo on myślał, że mnie tak zastrzeli jak starego bułanka...

Pani hrabina zrobiła się jeszcze smutniejsza. Odgarnęła mi włosy z czoła, spojrzała głęboko w oczy i rzekła do ojca:

— Kto wie, panie Leśniewski, co jeszcze będzie z tego dziecka?...

— Szubienicznik! — krótko odpowiedział stroskany ojciec.

— Nie wiadomo — odparła pani, gładząc mi najeżone włosy. — Trzeba by go do szkół oddać, bo tu zdziczeje.

A potem, odchodząc do salonu, rzekła półgłosem:

— Jest materiał na człowieka, panie Leśniewski...  
Trzeba go tylko uczyć.

— Stanie się według woli pani hrabiny! —  
odpowiedział ojciec, dając mi pięścią w kark.

Z tarasu odeszli wszyscy, ale ja zostałem, nieruchomy jak kamień, zapatrzony we drzwi, w których znikła nasza dziewczynka. Teraz dopiero pomyślałem z żalem: dlaczego nie upadł do jej nóg? — i uczułem jakieś dławienie w piersiach. Gdyby kazała, chętnie położyłbym się na zgliszczach obórki i tak dałbym się powoli upiec na niej. Nie za to, że mnie nie kazała zastrzelić kucharzowi, ani zbić, ale za to, że miała taki słodki głos i takie smutne spojrzenie.

Od tego dnia byłem już mniej swobodny. Pani hrabina nie życzyła sobie tracić w ogniu reszty zabudowań, ojcu było przykro, że nie mógł uregulować ze mną rachunku za spaloną oborę, a ja sam musiałem przygotowywać się do szkół. Uczyli mnie organista i gorzelany na przemian. Mówiono nawet, że jakichś przedmiotów będzie mi wykładała guwernantka z pałacu. Ale gdy dama ta, przy zapoznaniu się ze mną, zobaczyła, że mam pełne kieszenie nożów, kamieni, śrutu i kapiszonów, złąła się tak, że już nie chciała widzieć mnie po raz drugi.

— Ja takim bandytom nie daję lekcji — powiedziała do mojej siostry.

Ja jednak w tych czasach już bardzo spoważniałem. Tylko raz chciałem się, na próbę, powiesić. Ale później wypadło mi jakieś inne zajęcie, więc nie zrobiłem sobie nic złego.

Nareszcie w początkach sierpnia odwieziono mnie do szkół.

Egzamin zdałem wcale dobrze dzięki polecającym listom pani hrabiny, po czym ojciec umieścił mnie na stacji z korepetycją, rodzicielską opieką i wszelkimi wygodami za dwieście złotych i pięć korcy ordynarii na rok i — sprawił mi szkolny uniform.

Nowy strój tak mnie zajął, że nie mogąc nacieszyć się nim w ciągu dnia wstałem cichutko w nocy, ubrałem się po ciemku w surdut z czerwonym kołnierzem, włożyłem na głowę czapkę z czerwonym lampasem i miałem zamiar posiedzieć tak kilka minut. Ponieważ jednak noc była dżdżysta, ode drzwi trochę ciągnęło, a ja poza obrębem munduru i czapki byłem w negliżu, więc trochę zdrzemnąłem się i przespałem w uniformie do rana.

Taki sposób nocowania bardzo rozweselił moich kolegów, ale w gospodarzu naszej stacji obudził podejrzenie, że ma w domu nadzwyczajnego urwisa. Pobiegł czym prędzej do zajazdu, gdzie stał mój ojciec, i powiedział mu, iż za żadne w świecie skarby nie chce mnie trzymać na stacji, chyba — że mu ojciec dołoży jeszcze pięć korcy kartofli na rok. Po długich targach stanęło na trzech korcach, ale swoją drogą ojciec pożegnał się ze mną w tak demonstracyjny sposób, że ani żałowałem go, kiedy wyjeżdżał, ani tęskniłem za domem, gdzie częściej mogły mnie spotkać podobne owacje.

Przebieg mojej edukacji w klasie pierwszej nie przedstawia żadnych wybitniejszych momentów. Dziś patrząc na owe czasy z historycznej odległości, koniecznej, jak wiadomo, dla sformowania obiektywnego sądu, wyznaję, że w ogólnych zarysach życie moje zmieniło się niewiele. W szkole trochę dłużej przesiadywałem w zamkniętej sali, w domu — trochę więcej biegałem po otwartej przestrzeni. Zmieniłem suknie cywilne na mundur, a osoby, pracujące nad harmonijnym rozwinięciem moich fizycznych i duchowych uzdolnień, zamiast dyscypliny — używały różgi.

I oto wszystko.

Szkoła, jak wiadomo, dzięki swemu zbiorowemu charakterowi przygotowuje chłopców do życia w społeczeństwie i daje im takie umiejętności, jakich by nie nabyli, chowając się pojedynczo. O tej prawdzie przekonałem

się w tydzień po przybyciu do szkoły, gdzie nauczyłem się sztuki dawania „serów”, która wymaga współdziałania najmniej trzech osób, a więc nie może istnieć poza obrębem społeczeństwa.

Teraz dopiero odkryłem w sobie ten rzeczywisty talent, którego natura chroniła mnie od teoretycznych zaciekań, a popychała w kierunku działalności zbiorowej. Należałem do pierwszorzędnych graczy w palanta, bywałem „matką” w bitwach, organizowałem pozaklasowe wycieczki, zwane „wagusami”, dyrygowałem w klasie ogólnym tupaniem lub beczeniem, cośmy sobie dla wytchnienia urządzali niekiedy w sześćdziesięciu. Natomiast znalazłszy się samotnym wobec gramatycznych prawideł, wyjątków, deklinacji i koniugacji tworzących, jak wiadomo, podstawę filozoficznego myślenia, wnet uczuwałem w duszy jakąś pustkę, z której głębi wynurzała się — senność.

Jeżeli przy takim talencie do nieuczenia się wypowiadałem lekcje stosunkowo dość płynnie, to tylko dzięki silnemu wzrokowi, który pozwalał mi czytać z książki odległej o dwie lub trzy ławki. Zdarzało się niekiedy, że wydawał zupełnie co innego, niż było zadane, lecz wówczas uciekałem się do modelowego w takich wypadkach usprawiedliwienia. Mówiłem mianowicie, że nie dosłyszałem pytania albo że „się załakłem”.

W ogóle byłem uczniem przyszłości, nie tylko dlatego, że budziłem niezadowolenie w starych rutynistach, a posiadałem sympatię młodych, ale i dlatego, że dobre stopnie z różnych przedmiotów, a wraz z nimi nadzieję promocji, widziałem tylko w marzeniach wybiegających daleko poza teraźniejszość.

Moje stosunki z nauczycielami były rozmaite.

Profesor łaciny pisał mi nie najgorsze stopnie za to, że pilnie uczyłem się gimnastyki, którą także on wykładał.

Ksiądz prefekt wcale mi nie dawał stopni, ponieważ zasypywałem go kłopotliwymi pytaniami, na które jedyną odpowiedzią z jego strony było: „Leśniewski, idź klęczeć!”. Nauczyciel rysunków i kaligrafii protegował mnie jako rysownik, ale potępiał jako kaligraf; lecz ponieważ w jego umyśle sztuka pisania była najważniejszym szkolnym przedmiotem, więc przy głosowaniu z sobą samym przeważał na stronę kaligrafii i dawał mi jednostki, niekiedy dwójki.

Arytmetykę rozumiałem wcale dobrze, ten bowiem wykład oparty był na metodzie pogładowej, to jest „na biciu łap” za nieuwagę. Nauczyciel języka polskiego wróżył mi świetną karierę, ponieważ raz udało mi się napisać mu na imieniny wiersz obejmujący pochwałę jego surowości. Nareszcie stopnie z innych przedmiotów zależały od tego, czy moi sąsiedzi dobrze mi podpowiadali albo czy leżąca na poprzedniej ławce książka była otwarta we właściwym miejscu.

Najpoufalsze jednak stosunki łączyły mnie z inspektorem. Człowiek ten tak przyzwyczał się do „wypukiwania” mnie z klasy w czasie lekcji i do widywania się ze mną po lekcjach, że był szczerze zaniepokojony, gdy w którym tygodniu nie przypominałem się jego pamięci.

— Leśniewski — zawołał pewnego dnia, spostrzegłszy, że już idę z klasy do domu. — Leśniewski!... a dlaczego ty nie zostajesz?

— Przeciem nic nie zrobił — odpowiadam mu.

— Jak to, więc nie jesteś zapisany do dziennika?

— Jak ojca kocham, tak nie!

— I umiałeś lekcje?...

— Kiedy mnie dziś wcale nie wyrywali!...

Inspektor zamyślił się.

— Coś w tym jest! — szepnął. — Wiesz, Leśniewski, zostań ty tu na chwilkę.

— Mój złocisty panie inspektorze, przecież ja nic nie winien!... jak ojca kocham!... jak Bożę kocham!...

— Aha... przysięgasz się, ośle?... Chodźże mi tu zaraz!... A jeżeliś naprawdę nic nie zmalował, to... policzy ci się na drugi raz!...

W ogóle miałem u pana inspektora kredyt otwarty, co mi w szkole zrobiło pewną popularność, tym istotniejszą, że nikogo nie pobudzała do konkurencji.

Między kilkudziesięcioma pierwszoklasistami, z których jeden golił już wąsy prawdziwą brzytwą, trzej po całych dniach grali w karty pod ławką, a inni byli zdrowi jak kantoniści, znajdował się kaleka — Józio. Był to chłopczyk garbaty, karzeł na swój wiek, mizerny, z małym noskiem sinym, bladymi oczyma i gładkimi włosami. Był tak wątpy, że musiał odpoczywać, idąc z domu do szkoły, a tak bojaźliwy, że gdy go wyrwano do lekcji, tracił mowę ze strachu. Nigdy nie bił się z nikim, tylko prosił innych, ażeby jego nie bili. Gdy mu raz „dano szczupaka” po suchej jak patyk rączynie — zemdłał, ale otrzeźwiony — nie poskarżył się.

Miał on oboje rodziców, ale ojciec wygnał matkę z domu, a Józia zatrzymał przy sobie, pragnąc sam kierować jego edukacją. Sam chciał odprowadzać syna do szkoły, chodzić z nim na spacer, dawać mu korepetycje, ale nie robił tego z powodu braku czasu, który mu dziwnie prędko ginał w handlu trunków i owsianego piwa u Moszka Lipy.

Tym sposobem Józio nie miał żadnej opieki, a mnie się niekiedy wydawało, że na takiego malca nawet Bóg niechętnie patrzy z nieba.

Swoją drogą, Józio miewał pieniądze, po sześć i po dziesięć groszy na dzień. Za to miał sobie kupować w czasie pauzy po dwie bułki i po serdelku. Ale że go wszyscy prześladowali, więc on, chcąc się jako tako zabezpieczyć,

kupował po pięć bułek i rozdawał je najsilniejszym kolegom, ażeby mieli dla niego łaskawe serce.

Podatek ten nie na wiele się przydał, bo poza pięcioma zjednanymi, stało trzy razy tylu nieprzejednanych. Dokuczali mu bez ustanku. Ten go uszczypnął, tamten pociągnął za włosy, inny ukłuł, czwarty dał byka w ucho, a najmniej odważny nazywał go przynajmniej — garbusem.

Józio tylko uśmiechał się na te koleżeńskie żarty, czasami prosił: „Dajcie już spokój!...” — a czasami i nic nie mówił, tylko opierał się na chudych rękach i szlochał.

Koledzy wołali wtedy: „Patrzcie! jak mu się garb trzęsie!...” — i dokuczali mu jeszcze zawzięciej.

Ja z początku mało zwracałem uwagi na garbuska, który wydał mi się niemrawym. Ale raz ten duży kolega, który golił wąsy brzytwą, usiadł za Józkiem i począł mu palić byki w oba uszy. Garbus zanosił się od płaczu, a klasa trzęsa się od śmiechu. Wtedy coś mnie ukłuło w serce. Schwyciłem otworzony scyzoryk i drągala, który dawał garbusowi byki, pchnąłem w rękę do kości wołając, że tak zrobię każdemu, kto Józka dotknie palcem!...

Drągalowi trysnęła krew, zbladł jak ściana i zdawało się, że zemdleje. Cała klasa nagle przestała się śmiać, a potem zaczęła krzyczeć: „Dobrze mu tak, niech nie dokucza kalece!...”. W tej chwili wszedł profesor, a dowiedziawszy się, że zranił nożem kolegę, chciał sprowadzić inspektora z „diadką” i z różgą. Ale wszyscy zaczęli za mną prosić, nawet sam zraniony drągala; więc pocałowaliśmy się naprzód ja z drągalem, potem on z Józkiem, potem Józio ze mną — i tak mi się upiekło.

Uważałem, że przez całą lekcję garbusek odwracał głowę w moją stronę i uśmiechał się zapewne dlatego, że przez ten czas nie dostał ani jednego byka. Na pauzie także mu nikt nie dokuczał, a kilku oświadczyło, że będą go bronili.



On dziękował im, ale — przybiegł do mnie i chciał mi dać bułkę z masłem. Nie wziąłem, więc trochę zawstydził się, a potem rzekł cicho:

— Wiesz co, Leśniewski, powiem ci sekret.

— Gadaj! — odparłem — ale prędko...

Garbusek stropił się, a potem zapytał:

— Czy ty już masz przyjaciela?

— A mnie co po tym?...

— Bo widzisz, gdybyś chciał, to ja mógłbym być twoim przyjacielem.

Spojrzałem na niego z góry. On zmieszał się jeszcze bardziej i znowu zapytał cienkim i stłumionym głosem.

— Dlaczegoż ty nie chcesz, żebym był twoim przyjacielem?

— Bo ja nie wdaję się z takimi trutniami jak ty!... — odpowiedziałem.

Garbusowi bardziej niż zwykle posiniał nosek. Już chciał odejść, ale zwrócił się jeszcze raz do mnie, mówiąc:

— To może chcesz, żebym przy tobie siedział?...

Widzisz, ja uważam, co belfry zadają, robiłbym za ciebie przykłady... Umiem dobrze podpowiadać.

Ta argumentacja wydała mi się poważną. Po namyśle przyjąłem garbuska do ławki, a mój sąsiad zgodził się, za pięć bułek, odstąpić mu swego miejsca.

Już po południu Józio przeniósł się do mnie. Był to mój najszczęśliwszy pomocnik, powiernik i chwalca. On wybierał słówka i robił wszelkie tłumaczenia, on notował zadawane przykłady, nosił kałamarz, pióra i ołówki dla nas obu. A jak podpowiadał!... Przez czas pobytu w szkołach wielu mi podpowiadało, niektórzy nawet klęczeli za to, ale żaden w tej sztuce ani się umywał do Józia. W podpowiadaniu garbusek był mistrzem, bo umiał mówić z zaciśniętymi zębami i robił

przy tym tak niewinną minę, że żaden z profesorów nawet nie podejrzewał...

Ile razy osadzono mnie w kozie, garbusek przynosił ukradkiem chleb i mięso ze swego obiadu. A gdy mnie spotkała jaka większa nieprzyjemność, ze łzami w oczach zapewniał kolegów, że ja nie dam sobie zrobić krzywdy.

— Ho! ho! — mówił — Kazio jest mocny. On jak złapie „diadkę” za ramiona, to nim ciśnie o ziemię jak piórkiem. Nie bójcie się!...

Istotnie koledzy moi nie bali się, tylko on, biedak, bał się za nas obu.

Jeżeli garbusek nie potrzebował na jakiej lekcji uważać, wówczas prawil mi komplimenta:

— Mój Boże!... żebym ja był taki jak ty mocny!... Mój Boże!... żebym ja był taki zdolny... Wiesz, że gdybyś chciał, to za miesiąc zostałbyś prymusem...

Pewnego dnia, całkiem niespodziewanie, nauczyciel języka niemieckiego wyrwał mnie na środek. Przerażony Józio ledwie miał czas podpowiedzieć mi, że do czwartej deklinacji należą wszystkie rzeczowniki rodzaju żeńskiego, na przykład: die Frau — pani...

Ostro wyszedłem i z wielką pewnością zawiadomiłem nauczyciela, że do czwartej deklinacji należą wszystkie rzeczowniki rodzaju żeńskiego, na przykład: die Frau — pani... Ale na tym skończyła się moja wiedza.

Profesor spojrział mi w oczy, pokiwał głową i kazał tłumaczyć. Przeczytałem po niemiecku płynnie i głośno raz, potem jeszcze płynniej — drugi raz, ale gdy zacząłem czytać trzeci raz ten sam ustęp, nauczyciel kazał mi pójść na miejsce.

Wracając do ławki spostrzegłem, że Józio bardzo pilnie przypatruje się ołówkowi profesora i że ma bardzo zafrasowaną minę.

Machinalnie zapytałem garbuska:

— Nie wiesz, jaki mi dał stopień?

— Czy ja wiem?... — westchnął Józio.

— Ale jak ci się zdaje?

— Ja — rzekł garbusek — dałbym ci piątkę, no...

zresztą czwórkę, ale on...

— A on ile mi dał?... — pytałem.

— Zdaje mi się, że... pałkę... Ale to osioł, co on tam wie!... — odpowiedział Józio tonem głębokiego przekonania.

Pomimo wątpliwości chłopczyzna ten był pracowity i bystry. Ja zwykle czytałem w klasie romanse, a on słuchał wykładu i później mi go powtarzał.

Raz zapytałem go: o czym mówił nasz nauczyciel zoologii?

— Widzisz, o tym — odparł garbusek z tajemniczą miną — że rośliny są podobne do zwierząt.

— Głupi on jest — odpowiedziałem.

— Ale! — mówi garbusek — on ma rację. Ja już go trochę rozumiem.

Zacząłem się śmiać i rzekłem:

— No, kiedyś taki mądry, to mi powiedz: z czego jest podobna wierzba do krowy?

Chłopiec zamyślił się i powoli zaczął.

— Widzisz... krowa rośnie, a wierzba także rośnie...

— A co dalej?

— Widzisz... krowa się karmi i wierzba się karmi sokami z ziemi...

— A co dalej?

— Krowa jest rodzaju żeńskiego, no... i wierzba jest rodzaju żeńskiego — objaśnił Józio.

— Ale krowa macha ogonem! — rzekłem mu.

— A wierzba macha gałęzmi! — odparł.

Taka suma argumentów nadwreżyła moją wiarę w istnienie różnicy między zwierzętami i roślinami. Sam pogład

podobał mi się i od tej pory obudziło się we mnie zamiłowanie do zoologii streszczonej w książce Pisulewskiego. Dzięki wywodom garbuska zacząłem z tego przedmiotu miewać piątki.

Pewnego dnia Józio nie przyszedł do szkoły, a nazajutrz przed południem powiedziano, że ktoś mnie „wypukuje”. Wybiegłem na korytarz trochę niespokojny, jak zwykle w podobnych razach, lecz zamiast inspektora zobaczyłem tęgiego mężczyznę z pąsową twarzą, fioletowym nosem i czerwonymi oczyma.

Nieznajomy odezwał się głosem nieco chrapliwym:

— To ty, chłopcze, jesteś Leśniewski?

— Ja.

Przestąpił z nogi na nogę, jakby chwiejąc się, i dodał:

— Zajdź tam do mego syna Józia, do tego garbatego, wiesz? On jest chory, bo onegdaj trochę go przejechali...

Znowu zachwiał się, spojrzał na mnie błędnym wzrokiem i odszedł, tupiąc o podłogę. Mnie jakby kto oblał gorącą wodą. Zdawało mi się, że to ja raczej powinienem być przejechany, nie zaś biedny garbusek, on — taki dobry i wątlwy...

Po południu wypadła rekreacja. Nie poszedłem już do domu na obiad, tylko pobiegłem do Józia.

Obaj z ojcem mieszkali na końcu miasta w dwu pokoikach parterowego domu. Gdym wszedł, zastałem garbuska leżącego w krótkim łóžeczku. Był zupełnie sam, sam jeden. Ciężko oddychał i drżał z zimna, bo w piecu nie napalono. Źrenice jego rozszerzyły się tak, że miał prawie czarne oczy. W izdebce czuć było wilgoć, a z dachu padały krople topniejącego śniegu.

Pochyliłem się nad łóžkiem i spytałem:

— Co tobie, Józiu?...

On ożywił się, otworzył usta jakby do uśmiechu, ale — tylko jęknął. Wziął mnie za rękę wyschłymi rączkami i zaczął mówić:

— Ja pewnie umrę... Ale boję się tak... sam... więc prosiłem, żebyś przyszedł... To... widzisz... niedługo, a mnie będzie trochę weselej...

Jeszcze nigdy Józio nie wydawał mi się takim jak dziś. Zdawało mi się, że z kaleki wyrasta olbrzym.

Zaczął głucho jęczeć i kaszlać, aż na usta wystąpiła mu różowa piana. Potem zamknął oczy i ciężko oddychał, a czasami wcale nie oddychał. Gdybym nie czuł uścisku jego rozpalonych rączek, myślałbym, że umarł.

Tak siedzieliśmy godzinę, dwie, trzy — milcząc. Ja prawie straciłem władzę myślenia. Józio odzywał się rzadko i z wielkim wysiłkiem. Powiedział mi, że go z tyłu najechał jakiś wóz, że go strasznie zabolął krzyż, ale już go nie boli, że ojciec wczoraj wypędził sługę, a dziś poszedł szukać innej...

Potem, nie uwalniając mi ręki, prosił, ażebym zmówił cały pacierz. Zmówiłem, a gdym zaczął: „Kiedy ranne wstają zorze”, przerwał mi:

— Mów jeszcze — rzekł — „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”. Ja już się jutro pewnie nie obudzę...

Słońce zaszło, nadciągnęła jakaś szara noc, bo poza chmurami świecił księżyc. W domu nie było świecy, zresztą — nie myślałem nawet zapalać jej. Józio był coraz niespokojniejszy, bredził i tylko chwilami odzyskiwał przytomność.

Już było późno, kiedy od ulicy kołatnęła furtka z wielkim hałasem. Przez podwórze przeszedł ktoś i gwizdząc otworzył drzwi naszej izby.

— To tatko? — jęknął garbusek.

— Ja, mój synu! — odparł przybysz ochrypniętym głosem. — Jakże ci tam? Pewnie lepiej!... Tak być powinno!... Zawsze uszy do góry, mój synu...

— Tatku... nie ma światła... — mówił Józio.

— Głupstwo światło!... A to kto?... — zawołał, potykając się o mnie.

— To ja... — odparłem.

— Aha! Łukaszowa? dobrze!... Prześpij się dziś, a jutro... sprawię ci wnyki... Ja gubernator!... Rum jamajka!...

— Dobranoc, tatku!... dobranoc!... — szeptał Józio.

— Dobranoc, dobranoc, moje dziecko!... — odparł przybysz i schyliwszy się nad łóżkiem — mnie pocałował w głowę.

Uczułem, że pod pachą miał butelkę.

— Wyśpij się — dodał — a jutro marsz do szkoły!... Krokiem maarrsz!... Rum jamajka... — wrzasnął i poszedł do drugiego pokoju.

Tam ciężko usiadł, widocznie na kufrze, uderzył głową o ścianę, a po chwili — rozległo się miarowe bulgotanie, jakby ktoś pił.

— Kaziu!... — szepnął garbusek — jak już będę... tam... przyjdź do mnie czasem. Powiesz mi, co zadano na lekcje...

W drugim pokoju wrzasnął przybysz:

— Zdrowia życzymy panu gubernatorowi!... Wiwat!... Ja gubernator!... Rum jamajka!...

Józio począł się trząść i mówić coraz niespokojniej:

— Tak mnie łamie!... Czyś ty na mnie usiadł, Kaziu? Kaziu!... O, nie bijcie mnie już!...

— Rum jamajka!... — wołano w drugim pokoju. Znowu coś zabulgotało, a potem butelka z przeraźliwym brzękiem uderzyła o podłogę.

Józio przyciągnął moją rękę do ust, schwycił zębami za palce i — nagle puścił. Już nie oddychał.

— Panie! — zawołałem. — Panie! Józio umarł!...

— Co tam pleciesz? — mruknął głos z drugiego pokoju. Zerwałem się z łóżka i stanąłem we drzwiach patrząc w ciemność:

— Józio umarł!... — powtórzyłem cały drżący.

Człowiek rzucił się na kufrze i wykrzyknął:

— Wynoś mi się stąd, błaznie!... Ja, jego ojciec, lepiej wiem, czy on umarł... Wiwat pan gubernator!... Rum jamajka!...

Uczułem trwogę i uciekłem.

Przez całą noc nie mogłem spać, miałem dreszcze, męczyły mnie jakieś straszne marzenia. Z rana obejrzał mnie gospodarz naszej stacji, powiedział, że mam gorączkę, że pewnie zaraziłem się od przejechanego Józia i — kazał mi postawić na krzyżu dwanaście baniek ciętych. Po tym lekarstwie nastąpiło, jak mówił gospodarz, takie przesilenie, że tydzień leżałem w łóżku.

Nie byłem na pogrzebie Józia, którego odprowadziła cała nasza klasa z nauczycielami i księdzem prefektem. Mówiono mi, że miał czarną trumnę aksamitną, tak małą jak pudełko od skrzypiec.

Ojciec jego strasznie płakał, a na cmentarzu złapał trumnę i chciał z nią uciekać. Ale pomimo to Józia pochowali, a jego ojca komisarz z policjantem wyprowadzili z cmentarza.

Gdy pierwszy raz poszedłem do szkoły, powiedziano mi, że ktoś co dzień wypytuje się o mnie. Jakoż o jedenastej „wypukano” mnie.

Wyszedłem — za drzwiami stał ojciec zmarłego Józia. Miał twarz barwy bladofioletowej, a nos popielaty. Był zupełnie trzeźwy, tylko trzęsła mu się głowa i ręce.

Człowiek ten wziął mnie pod brodę i długo wpatrywał mi się w oczy, a potem nagle rzekł:

— Ty obroniłeś Józia, kiedy mu w klasie dokuczali?...

„Czy zwariował ten stary?” — pomyślałem, ale mu nic nie odpowiedział.

On objął mnie rękoma za szyję i pocałował kilka razy w głowę szepcząc:

— Niech cię Bóg błogosławi... Niech cię błogosławi!...

Puścił mi głowę i znowu spytał:

— Byłeś przy jego śmierci... Powiedz mi prawdę, bardzo on się męczył?...

Wtem cofnął się i rzekł prędko:

— Albo nie... nic mi już nie mów!... O, nikt nie wie, jakim ja nieszczęśliwy!...

Z oczu poczęły mu płynąć łzy. Schwycił się oburącz za głowę, odwrócił się ode mnie i pobiegł ku schodom, krzycząc:

— Biedny ja!... biedny...

Wołał tak głośno, że na korytarz powychodzili profesorowie. Patrzyli za nim, pokiwali głowami i kazali mi wrócić do klasy.

Nad wieczorem jakiś faktor przyniósł na stancję spory kufer dla mnie i kartkę z tym tylko napisem:

„Od biednego Józia — pamiątka”.

W kufrze było mnóstwo pięknych książek po nieboszczyku Józiu, a między nimi: *Księga świata*, *Historia Cesara Cantu*, *Don Kiszot*, *Galeria Drezdeńska* i wiele innych. Książki te obudziły we mnie namiętną chęć do poważniejszego czytania.

Dobrze już na wiosnę wybrałem się pierwszy raz na grób Józia. Był taki mały i zgarbiony jak on sam. Spostrzegłem, że ktoś obsadził go zielonymi gałązkami. O parę kroków dalej, między trawą, znalazłem kilka butelek z napisem: „Rum Jamaica”. Siedziałem z godzinę, ale nie



powiedział Józio, co zadali na lekcje, bo i sam nie wiedziałem, i on się nie spytał.

W tydzień znowu przyszedłem na cmentarz. Znowu zobaczyłem gałązki świeżo zatknięte w grób Józia, a między trawą — znowu znalazłem kilka całych i nadtłuczonych butelek.

W początkach maja rozeszła się po mieście szczególna wiadomość. Oto z rana przy grobie Józia znaleziono martwe zwłoki jego ojca. Obok nich leżała wypróżniona do połowy butelka z napisem: „Rum Jamaica”.

Mówili doktorzy, że człowiek ten umarł na aneurizm.

Wypadki te oddziaływały na mnie w szczególny sposób. Od tej pory ciążyło mi towarzystwo kolegów i nudziły ich krzykliwe zabawy. Wówczas zatapiałem się w czytaniu książek, które mi zostawił Józio, albo wymykałem się za miasto, w jary zarosłe krzakami i włóczęc się tam, rozmyślałem Bóg wie o czym. Nieraz zapytywałem się, dlaczego tak nędznie zginął Józio i dlaczego ojciec był tak samotny, że aż musiał tulić się do grobu syna? Czułem, że największym nieszczęściem jest opuszczenie i zrozumiałem, dlaczego biedny garbusek szukał przyjaciela.

Mnie także potrzebny był teraz przyjaciel. Ale między kolegami jakoś żaden nie przypadł mi do smaku. Przypomniałem sobie siostrę. Nie!... siostra nie zastąpi przyjaciela.

Koledzy mówili o mnie, że zdziczałem, a gospodarz naszej stacji nie miał już żadnej wątpliwości, że zostanę wielkim zbrodniarzem.

Nadszedł akt uroczysty, na którym inspektor doniósł całemu światu, że otrzymałem promocję do klasy drugiej. Wypadek ten nappełnił mnie radosnym zdziwieniem. Nagle poczęło mi się zdawać, że jakkolwiek szkoła posiada wyższe klasy, żadna przecież nie jest tak doskonała jak — druga.

Zapewniałem kolegów, że uczniowie pozostałych klas, od trzeciej do siódmej włącznie, powtarzają tylko to, czego nauczyli się w drugiej, w duszy zaś lękałem się, ażeby profesorowie nie spostrzegli się po wakacjach, że dostałem promocją tylko przez pomyłkę, i nie cofnęli mnie do pierwszej klasy.

Następnego przecie dnia oswoiłem się poniekąd ze swoim szczęściem, a kiedy jechałem do domu na wakacje, to przez całą drogę tłumaczyłem furmanowi, że ja jeden w klasie dostałem zasłużoną promocją i że moja promocja była najlepsza. Przytaczałem mu tak niezbite argumenty, że aż zaczął ziewać. Gdy jednak umilkł, przekonałem się ze strachem, że sam jestem pełen wątpliwości.

Drugiego dnia, dojeżdżając do domu, spotkałem w drodze siostrę Zosię, która wybiegła naprzeciw mnie. Zaraz doniosłem jej, że już jestem w drugiej klasie i że mój przyjaciel Józio umarł, bo go przejechali. Ona zaś powiedziała, że tęskniła za mną, że jej kura ma dziesięć kurcząt, że do pani hrabiny po dwa razy na tydzień przyjeżdża z wizytą jakiś pan, że mają guwernantkę, która kocha pisarza i że nieboszczyk Józio nic ją — niby Zosię — nie obchodzi, ponieważ był garbaty. Ale swoją drogą żałuje go.

Mówiąc to, udawała dużą pannę.

Ojca zobaczyłem w południe. Przywitał się ze mną bardzo serdecznie i powiedział, że na wakacje da mi konia i pozwoli strzelać z wielkiego pistoletu. A potem dodał:

— Pójdźże zaraz do pałacu i przywitaj się z panią hrabiną, chociaż...

W tym miejscu machnął ręką.

— Cóż się stało, proszę ojca?... — spytałem jak dorosły człowiek i ażem się zląkł swojej odwagi.

Nadspodziewanie ojciec odpowiedział bez gniewu, z odcieniem goryczy:

— Ona już teraz nie potrzebuje starego plenipotentą.  
Niedługo będzie tu nowy pan, a ten i sam potrafi...

Przerwał i odwróciwszy się, mruknął przez zęby:

— Przegrać w karty majątek.

Zacząłem domyślać się, że przez czas mojej nieobecności zaszły tu wielkie zmiany. Swoją drogą poszedłem na przywitanie do dziedziczki. Przyjęła mnie łaskawie, a ja dostrzegłem, że jej smutne oczy mają dziś całkiem inny wyraz.

Wracając spotkałem na dziedzińcu ojca i powiedziałem, że pani hrabina jest taka wesoła jak nigdy. Kręci się, klaszcze w ręce, zupełnie jak jej pokojówki.

— Bah! każda baba przed weselem ma dobry humor...  
— odparł ojciec jakby sam do siebie.

W tej chwili przed pałac zajechał lekki powozik, a z niego wyskoczył wysoki mężczyzna z czarną brodą i oczyma jak płomienie. Zdaje się, że pani hrabina wybiegła na ganek, bom zobaczył, jak przez drzwi wyciągnęła do niego obie ręce.

Ojciec szedł przede mną, śmiał się cicho i mruczał:

— Cha! cha!... Wszystkie baby powariowały!... Pani wzdycha za elegantem, a guwernantka za pisarzem... Dla Salusi zostałem ja albo proboszcz... Cha! cha!...

Miałem dwunasty rok i jużem wiele słyszał o miłości. Ten kolega, który golił wąsy i siedział trzy lata w pierwszej klasie, nieraz mówił nam o swoich uczuciach dla pewnej panienki, którą po parę razy na dzień widywał na ulicy albo w lufciku. Zresztą sam czytałem kilka bardzo pięknych romansów i dobrze pamiętam, ile umartwienia kosztowali mnie ich bohaterowie.

Z tego powodu półsłówka ojca wywarły na mnie przykre wrażenie. Uczułem sympatię dla naszej dziedziczki, a nawet dla guwernantki, obok niechęci do brodatego pana i do pisarza. Nigdy bym tego głośno nie powiedział (nie śmiałybym

nawet wyraźnie pomyśleć), lecz zdawało mi się, że i nasza pani, i guwernantka zrobiłyby daleko stosowniej, gdyby wzdychały za mną.

W ciągu kilku następnych dni obiegłem wieś, park, stajnie, jeździłem konno, pływałem czółnem, lecz — wnet spostrzegłem, że mi zaczyna być nudno. Wprawdzie ojciec coraz częściej rozmawiał ze mną jak z dorosłym człowiekiem, pan gorzelany zapraszał mnie na starkę, a pisarz prowentowy narzucał mi się z przyjaźnią i nawet obiecywał opowiedzieć cierpienia, jakich doświadcza z powodu guwernantki, ale — mnie to nie bawiło. I starkę pana gorzelanego, i zwierzenia pisarza oddałbym za jednego dobrego kolegę. Lecz gdym w myśli wybierał między tymi, którzy razem ze mną ukończyli pierwszą klasę, przekonywałem się, że żaden nie przystałby do moich dzisiejszych usposobień.

Niekiedy z głębi mojej duszy wynurzał się smutny cień zmarłego Józia i opowiadał mi rzeczy nieznane głosem cichszym aniżeli powiew letniego wiatru. Wtedy ogarniała mnie jakaś rzewność i tęskniłem, ale sam nie wiem do czego... Gdy raz, pod wpływem takich przywidzeń, wałęsałem się po zarastających trawą ścieżkach parku, zabiegła mi niespodziewanie drogę siostra Zosia i zapytała:

— Dlaczego ty się z nami nie bawisz?

Zrobiło mi się gorąco.

— Z kim?

— A ze mną i z Lonią.

Pozostanie wieczną zagadką, dlaczego w tej chwili imię Loni pomieszało mi się z widziadłem Józia i dlaczego się zaczerwienił tak, że mnie twarz piekła i pot wystąpił na czoło.

— Cóż to?... nie chcesz się z nami bawić? — pytała zdziwiona siostra. — Na Wielkanoc był tu jeden uczeń z trzeciej klasy i wcale się tak nie pysznił jak ty. Po całych dniach chodził z nami.

I znowu bez powodu uczułem nienawiść do owego trzecioklasisty, którego nigdy nie widział. Wreszcie odpowiedziałem Zosi tonem opryskliwym, choć w sercu nie miałem do niej urazy.

— Ja nie znam tej Loni.

— Jakże nie znasz? Czy nie pamiętasz, jak za nią wybiła cię tamta guwernantka? A czyś zapomniał, jak Lonia płakała za tobą i prosiła, żeby ci nic złego nie robili, kiedy spaliła się ta... obórka?...

Naturalnie, żem wszystko pamiętał, a najlepiej samą Lonię; muszę jednak wyznać, że mnemoniczne zdolności siostry rozgniewały mnie. Wydało mi się rzeczą nieodpowiednią godności mego munduru, że ludzie na wsi, a osobliwie podrastające dziewczynki, mają tak dobrą pamięć.

Pod wpływem tych uczuć odparłem jak brutal:

— Ech! daj mi spokój... i z sobą, i z twoją Lonią...

I poszedłem w głąb parku, zarówno niekontent z niewczesnych wspomnień siostry jak i z tego, że nie bawię się z dziewczynkami. Sam zresztą nie wiem, czegom chciałem, ale byłem taki zły, że kiedyśmy się zeszli z Zosią w domu, nie chciałem z nią rozmawiać.

Zasmucona siostra starała się schodzić mi z oczu, ale wtedy ja jej szukałem, czując, że mi czegoś brak, że kwestię wspólnej zabawy postawiłem zupełnie fałszywie. Więc dla poprawienia sytuacji, gdy strapiona Zosia wzięła się do cerowania, ja schwyciłem pierwszą z brzegu książkę i po kilkuminutowym przewracaniu kartek rzuciłem ją na stół, mówiąc niby sam do siebie:

— Wszystkie dziewczęta są głupie!...

Zdawało mi się, że aforyzm ten będzie bardzo mądry. Ledwie go jednak skończyłem, uczułem, że jest w nim coś niesmacznego. Zrobiło mi się żal siostry, wstyd... Nie mówiąc

już nic, pocałowałem Zosię w oba policzki i poszedłem do lasu.

Boże! jakim był tego dnia nieszczęśliwy... Był to przecie dopiero początek moich cierpień.

Nie chcę nic ukrywać. Przez całą noc śniła mi się Lonia i odtąd, zamiast biednego garbuska, jej cień widywałem w przywidzeniach. Zdawało mi się, że ona jedna mogłaby być tym przyjacielem, którego mi od tak dawna potrzeba. W marzeniach przemawiałem do niej tak długo i tak pięknie, jak piszą w romansach, a byłem taki grzeczny jak pewien margrabia. W rzeczywistości zaś nie umiałem zdobyć się nawet na to, ażeby pójść do parku, gdy w nim bawiły się dziewczynki, których wesołym śmiechom, przeplatany upomnieniami guwernantki, przysłuchiwałem się zza parkanu.

Dobrze pamiętam to miejsce, gdzie wyrzucano śmieci z pałacu, a rosły wysokie pokrzywy i łopian. Wystawałem tam całe kwadransy po to, żeby uchwycić kilka niewyraźnych frazesów, łoskot bucików na ścieżce i zobaczyć migającą sukienkę Loni, gdy skakała przez sznur.

Za chwilę wszystko milkło w parku i wtedy czułem piekący żar słońca, i słyszałem nieskończony brzęk much unoszących się nad śmietnikiem. Potem znowu dolatywały mnie odgłosy śmiechów i gonitwy, przed szczeliną w parkanie migały sukienki, a potem znowu górował szmer drzew, świergot ptaków, gorąco i natrętne muchy wlażyły mi prawie w usta.

Nagle rozległ się głos od pałacu:

— Lonia!... Zosia!... proszę do pokoju...

To guwernantka. Znienawidziłbym ją, gdyby mi nie było wiadomo, że jej także smutno.

Podczas jednej z wycieczek pod parkan przekonałem się, że nie jestem sam. Z pagórka zobaczyłem między zielonym gąszczem łopianu szary ze starości kapeluszek

słomiany, przez wierzch którego widać było jasnopłową czuprynę, bo kapelusz nie miał dna.

Gdym postąpił kilka kroków w tamtą stronę, czupryna i kapelusz podniosły się nad łopian i ukazał się siedmio-, a może ośmioletni chłopiec w długiej, ale brudnej koszuli, zaścięgniętej pod szyją na sznurek. Przemówiłem do niego, ale chłopiec zerwał się i uciekł, szybko jak zając, w stronę pola. Czerwony kołnierz mego munduru i posrebrzane guziki robiły w ogóle silne wrażenie na wiejskich dzieciach.

Z wolna odszedłem w stronę folwarku, a w miarę tego chłopiec zbliżał się do parkanu. Gdym się ukrył za budynkiem, on wlaźł na śmietnik i przyłożył oko do tej samej szczeliny, przez którą ja zaglądałem w ogród. Wątpię bardzo, ażeby co widział, ale wciąż patrzył.

Gdy na drugi dzień przyszedłem na stanowisko, ażeby śledzić zabawę panienek, znowu spostrzegłem między łopianem szary kapelusz, nad nim jasnopłową czuprynę, a pod oberwanym skrzydłem parę wlepionych we mnie oczu. Słońce bardzo piekło, więc chłopak po cichu urwał duży liść i zasłonił się nim jak parasolką. Wtedy już nie widział ani jego kapelusza, ani czupryny, tylko szarą koszulę, nieco rozchyloną na piersiach.

Gdym odszedł, chłopiec znowu wbiegł na śmietnik i znowu, jak wczoraj, przyłożył oko do szczeliny, myśląc zapewne, że choć tym razem nie wypatrzyłem z parku wszystkich ciekawości, jakie tam były.

W tej chwili zrozumiałem śmieszność swoich postępów. Dopieroż bym miał, gdyby tak ojciec albo pan gorzelany, albo nawet — sama Lonia zobaczyła, że ja, uczeń drugiej klasy, w mundurze wystaję pod parkanem na śmieciach, luzując się z jakimś kandydatem na pastucha, który nie wiem, czy nosił kiedy wypraną koszulę.

Wstyd mnie ogarnął. Alboż ja nie mam prawa wchodzić jawnie do ogrodu, nie kryjąc się po kątach jak ten w oberwanym kapeluszu?

Śmietnik i szczelina w parkanie obmierzły mi, ale zarazem obudziła się ciekawość: co za jeden jest ten chłopiec? Dzieci w jego wieku już pasą gęsi, a on najpiękniejszą młodość marnuje, wałęsając się za folwarkiem, podgląda cudze interesy, a spytany, zamiast przyzwoicie odpowiedzieć, ucieka jak królik przed obcym.

„Czekaj — pomyślałem — już mnie tu nie zobaczysz, ale za to ja wyśledzę, coś ty za jeden!”

Pamiętałem, że w romansach, obok bohaterów i bohaterek, bywają tacy zagadkowi nieznajomi, przed którymi trzeba się mieć na baczności i w porę ubezwładniać ich intrygi.

W parę dni, nie zapytując nikogo, dowiedziałem się wszystkiego o tajemniczym nieznajomym. To nie był intrygant. To był Walek, syn dworskiej pomywaczki, którego wszyscy znali, lecz nikt się nim nie zajmował. Dlatego chłopiec miał dużo swobodnego czasu i, jakem sam doświadczył, używał go w sposób niekoniecznie przyjemny dla innych.

Walek nigdy nie miał ojca, za co wszyscy dokuczali jego matce, kobiecie nieco popędliwej. Na przycinki służby pomywaczka odpowiadała krzykiem i wymysłami, a że jej to widać nie wystarczało, więc resztę — odbijała na Walku.

Jeszcze chłopiec pełzał na czworakach i miał koszulę zebraną w węzeł na karku (co robiło taki efekt, jakby jej wcale nie posiadał), a już nazywano go znajdą.

— Tyś go znalazł?... — zapytywała wtedy matka i krzyczała dalej:

— Ażeby was Bóg skarał za moją krzywdę!... Ażeby wam ręce i nogi!... Ażebyś ty szczył, psiawiaro!...



Ostatnie życzenie odnosiło się do Walka, który bezpośrednio po tym otrzymywał kopnięcie nogą poniżej owego węzła z koszuli. Dzieciak, dopóki był głupi, odpowiadał na taki poczęstunek rzewnym płaczem. Ale gdy nabrał rozumu, co nastąpiło dość prędko, wówczas milczał jak trusia i włąził pod tapczan, za wielki szaflik, w którym świniom jeść dawano. Widocznie nie chciał być oblany ukropem, jak mu się to raz zdarzyło.

Bywało i tak, że Walek przesiadywał pod tapczanem całe godziny, dopóki nie zeszli się ludzie na obiad albo na wieczerzę. Czasem, widząc głowę dziecka wytkniętą spod tapczanu i jego oczy, w których błyszczały łzy niedawnego bólu i ciekawość do klusków, pytali parobcy matki:

— A temu nie dacie, coście go zdybali w kartoflach?

— Bodaj on z tobą gryzł ziemię! — odpowiadała rozdrażniona kobieta i choć poprzednio miała zamiar nakarmić Walka, teraz nie dała mu jeść.

— Przecież tak nie można, żeby chłopak, choć znajda, zdychał z głodu — reflektowały ją inne baby.

— Właśnie, że zdechnie na przekór wam, kiedy tak wydziwiacie!...

A ponieważ siedziała trochę tyłem do tapczanu na konewce, więc Walek dostał piętą w zęby.

Wtedy parobcy na złość matce wydobywali go z ukrycia i karmili.

— No, Walek — mówił jeden — pocałuj Burka w ogon, to dostaniesz klusków.

Chłopiec punktualnie spełniał rozkaz, a za to łykał wielkie kluski, nawet ich nie gryząc.

— No, a teraz daj matce w łeb, to dostaniesz mleka...

— O bodajże wam ręce pokrzywiło! — wołała pomywaczka, a chłopiec umykał za swój szaflik.

Czasem zziajany, strwożony biegł pędem na dziedziniec i krył się w gęstych krzakach naprzeciw pałacu. A gdy mu łyzy obeschły, widział na ganku piękny stoliczek, przy nim dwa krzeselka, a na nich Lonię i moją siostrę, którym pokojówka wiązała serwetki pod brodą, Salusia nalewała zupę, a pani hrabina mówiła:

— Dmuchajcie, dzieci, nie poparzcie się, nie powalajcie... A może niesłodkie?...

Skoro parobcy odeszli do roboty i w kuchni nie było nikogo, pomywaczka wychodziła na podwórze i wołała:

— Walek!... Walek!... Chodź ino tu...

Ze sposobu wołania chłopiec poznawał, że może wyjść, i biegł w stronę kuchni. Tam dostawał od matki kawał chleba, drewnianą łyżkę i trochę barszczu w ogromnej donicy, z której jadło sześć osób. Siadał na ziemi, matka stawiała mu donicę między nogi i poprawiwszy koszulę na plecach, rzekła:

— A jak kiedy pocałujesz psa w ogon, to ci wszystkie gnaty porachuję. Pamiętaj se!

Potem odchodziła zmywać statki.

Wnet jak spod ziemi wyłaził skądś pies podwórzowy i siadał naprzeciw chłopca. Z początku kłapał zębami na muchy, ziewał, oblizywał się. Potem powąchał barszczu raz i drugi i — ostrożnie zanurzył w nim język. Walek go pęc! łyżką w łeb. Pies cofnął się, znowu ziewnął i — znowu chlapanął parę łyków trochę śmielej. Potem już mógł go chłopiec opukiwać po łbie łyżką, jak chciał, bo pies nabrawszy apetytu za żadne skarby nie wyjąłby pyska z donicy. Lecz Walek zmiarkował, że ten będzie lepszy, kto pierwszy zje, i jadł, aż się zadyszał, z jednego brzegu, a pies chlapał sobie z drugiego.

Jeżeli matka miała dobry humor, a Walek był pod ręką, wówczas dostawały mu się przysmaki z dworskiego stołu.

— Naści, pobaw się — mówiła pomywaczka, dając mu okruchy ciastek, talerz powalany sosem, rybi łeb, nieogryzione skrzydełko albo szklanę, na dnie której znajdowała się odrobina kawy i reszta nierozpuszczonego cukru. Gdy wszystko wyszał ze szklanki albo do czysta wylizał talerz, zapytywała go matka:

— A co, dobre?...

Walek brał się pod boki, jak to robili parobcy po obiedzie, głęboko oddychał i przesunawszy na bakier swój stary kapelusz, odpowiadał:

— Podjadł se człowiek, Bogu dziękować!... Trza iść do roboty...

Opuszczał kuchnię i szedł gdzieś na całe pół dnia.

Swoje zabawy stosował do tego, co robili starsi. W czasie orki wydobywał z koryta batożek, ujmował w rękę pierwszy lepszy kołek w płocie albo korzeń wywróconego drzewa i — orał całymi godzinami, naturalnie kiwając się w miejscu i wołając:

— Byś, ksy! ksy!...

Jeśli łapano ryby, wyszukiwał między śmieciami dziurawego sitka i z niezmordowaną cierpliwością zanurzał je w wodę. To znowu siadał na kiju i jechał poić konie do studni. Raz, znalazłszy koło owczarni stare łapcie z lipowego łyka, rzucał je na wodę i niby to pływał czółnem — naturalnie w myśli.

Słowem — bawił się doskonale, tylko nigdy się nie śmiał. Do jego dziecinnej twarzy przypił się wyraz niewzruszonej powagi, którą czasami tylko strach luzował. W dużych oczach siedziało wiecznie zdumienie jak u ludzi, którzy przez długie lata patrzyli na niesłychane rzeczy.

Walek umiał zręcznie wymykać się z domu na całe dnie. I nie dziwiło to parobków, jeżeli jakiego ranka znajdowali go w stogu albo w lesie pod drzewem. Umiał też

na środku pola wystawać długie chwile bez ruchu jak szary słupek i z otwartymi ustami patrzeć nie wiadomo na co. Wyśledziłem go raz w takiej pozycji, a będąc dość blisko, słyszałem, jak westchnął. Nie wiem dlaczego, westchnienie tak małej figurki przeraziło mnie. Uczułem jakiś żal, nie wiadomo do kogo, i w tej chwili polubiłem Walka. Ale gdym postąpił ku niemu parę kroków nieco śmieiej, chłopiec ocknął się i uciekł w krzaki z niepojętą zwinnością.

Wtedy zrodziła mi się w głowie myśl szczególna, że Bóg, który wciąż patrzy na takie dziecko, musi mieć duszę smutną. Zrozumiałem też, dlaczego na świętych obrazach jest zawsze poważny i dlaczego w kościele trzeba cicho rozmawiać i chodzić na palcach.

Taki to niepozorny człowieczek sprawił, że zamiast kryć się za parkanami postanowiłem wybrać się do parku, oświadczywszy pierwszej Zosi, że odtąd będę się bawił z nią i z Lonią.

Naturalnie siostrę zachwycił ten projekt.

— Bądźże w parku wtedy — mówiła — kiedy obie wyjdziemy na spacer. Przywitaj się także z guwernantką, która zawsze czyta książki w altanie, ale nie rozmawiaj z nią długo, bo ona nie lubi, ażeby jej przeszkadzać. A potem zobaczysz, jak nam będzie wesoło!

Tego samego dnia przy obiedzie rzekła do mnie z miną tajemniczą:

— Przyjdź o trzeciej, powiedziałam już Loni, że będziesz. Jak wyjdziemy z pałacu, zakaszlę...

Siostra wzięła się do jakiejś roboty, a ja naturalnie wyszedłem, bo co prawda, nigdym nie lubił zabierać miejsca w pokoju. Już byłem na dziedzińcu, kiedy wybiegła za mną Zosia:

— Kaziu! Kaziu!...

— Cóż tam?...

— Kiedy zakaszlę, będziesz wiedział, co to znaczy?...  
— rzekła uroczyście.

— Rozumie się.

Wróciła do pokoju, lecz jeszcze zawołała do mnie przez okno:

— Ja zakaszlę... Pamiętaj!

I gdzieżem miał pójść, jeżeli nie do parku, choć do umówionej chwili brakowało tęgie półtorej godziny? Byłem tak zamyślony, że nie wiem, czy tego dnia śpiewał jaki ptak w ogrodzie, zazwyczaj bardzo ożywionym. Obiegnę go parę razy wkoło, a następnie siadłem w czółno przywiązane do brzegu i nie mogąc pływać, przynajmniej kołysałem się w nim z nudów.

Układałem sobie plan odświeżenia znajomości z Lonią. Miało się to odbyć w następujący sposób. Gdy Zosia zakaszle, ja z bocznej ścieżki wyjdę ze spuszczoną głową w główną aleję. Wtedy Zosia powie:

„Patrz, Loniu, to mój brat, pan Kazimierz Leśniewski, uczeń klasy drugiej, przyjaciel tego nieszczęśliwego Józia, o którym ci tyle mówiłam”.

Lonia wtedy zrobi dyg, a ja, zdjawszy czapkę, powiem: „Dawno już miałem zamiar...”. Nie, tak źle!... „Dawno już pragnąłem odnowić z panią...”. O, nie!... Lepiej będzie tak: „Dawno już pragnąłem złożyć pani moje uszanowanie”.

Wtedy Lonia spyta się:

„Pan dawno bawi w naszych stronach?...”. Nie, ona nie powie tak, ale tak: „Przyjemnie mi poznać pana, o którym tyle słyszałam od Zosi”. A potem co?... Potem — to: „Czy nie przykrzy się panu w naszej okolicy?... pan przywykł do wielkiego miasta”. A ja odpowiem: „Przykrzyło mi się, dopókim nie miał towarzystwa pani...”.

W tej chwili pod powierzchnią wody mignął szczupak mający z pół łokcia... Wobec podobnej rzeczywistości

pierzchły marzenia. Tu, w sadzawce, są takie ryby, a ja — nie mam wędki!...

Zerwałem się z czołna, chcąc zobaczyć, czy w domu są haczyki i, o mały włos, nie potraściłem Loni, która właśnie zabierała się do skakania przez czerwony sznurek.

Ryby, haczyki, plan zawarcia uroczystej znajomości — wszystko od razu pomieszało mi się w głowie. Oto — szczupak!... Nawet zapomniałem ukłonić się Loni, gorzej jeszcze — bom zapomniał mówić. Ale co za szczupak!...

Lonia, śliczna szatyneczka, z wyraźnie zarysowanymi ustami, które co chwilę układały się w inny sposób, spojrzała na mnie z góry i odrzuciwszy w tył bujne loki zapytała bez wstępu:

— Czy to prawda, że kawaler przedziurawił nam czołno?

— Ja?...

— Tak mi powiedział ogrodnik, a teraz mama nie pozwala nam pływać i kazała czołno przywiązać do brzegu, a wiosła pochować.

— Ależ jak ojca kocham, tak nie przedziurawiłem czołna! — tłumaczyłem się jak przed inspektorem.

— Czy tylko z pewnością? — pytała Lonia, bystro patrząc mi w oczy. — Bo to do kawalera bardzo podobne!

Ton panienki nie podobał mi się. Do licha! najmocniejszy kolega nie przemówiłby do mnie w taki sposób.

— Kiedy ja mówię, że nie, to już jest z pewnością!... — odpowiedziałem silnie akcentując odpowiednie wyrazy.

— W takim razie ogrodnik powiedział nieprawdę — rzekła Lonia marszcząc brwi.

— Dobrze zrobił — odparłem — bo młode panny nie umieją pływać czołnem.

— A kawaler umie pływać?

— Ja umiem i czólnem, i rękami, a także na wznak i stojący.

— A kawaler będzie nas woził?

— Jeżeli mama pani pozwoli, to będę.

— Więc niech kawaler zobaczy, czy czólno nie jest dziurawe.

— Nie jest.

— A skądże się tam wzięła woda?

— Z deszczu.

— Z deszczu?

Rozmowa urwała się. Tylem jednak zyskał, że śmiało patrzył na Lonię, a ona, o ile dziś mi się ta rzecz przedstawia, nic sobie ze mnie nie robiła. Owszem, nie ruszając się z miejsca, zaczęła podskakiwać przez sznur, w odstępach, rozmawiając ze mną.

— Dlaczego kawaler nie bawił się z nami?

— Bom był zajęty.

— Cóż kawaler robi?

— Uczę się.

— Przecież na wakacjach nikt się nie uczy.

— W naszej klasie trzeba się uczyć nawet przez wakacje.

Lonia przeskoczyła sznur dwa razy i rzekła:

— Adaś jest w czwartej klasie, a jednak przez święta nie uczył się. Ach prawda!... kawaler nie zna Adasia...

— Któż to pani powiedział, że nie znam? — zapytałem z dumą.

— Bo kawaler był w pierwszej klasie, a on w trzeciej...

Znowu dwa skoki przez sznur... Myślałem, że mi się stanie coś dziwnego.

— Ze mną wdawała się nawet czwarta klasa — odparłem podrażniony.

— Wszystko jedno, bo Adaś chodzi do szkół w Warszawie, a kawaler... Gdzie to kawaler chodzi do szkół?... Gdzie?...

— W Siedlcach — ledwie odrzekł zdławionym głosem.

— A ja pojedę także do Warszawy — wyjaśniła Lonia i dodała: — Może kawaler powie Zosi, że już tu jestem...

I nie czekając na moją zgodę lub odmowę, pobiegła ku altance wciąż skacząc.

Byłem odurzony; nie mogło mi się w głowie pomieścić, jak mnie ta dziewczyna traktuje.

„A dajcie mi spokój z waszą zabawą — pomyślałem naprawdę rozgniewany. — Lonia to niegrzeczna, niedelikatna, to... smarkacz!...”.

Powyższe jednak uwagi nie przeszkodziły mi spełnić natychmiast jej rozkazu. Poszedłem do domu bardzo prędko, może nawet za prędko, zapewne skutkiem wewnętrznego wzburzenia.

Zosia brała już parasolkę, aby iść do ogrodu.

— No, wiesz — rzekłem rzucając czapkę w kąt — poznałem się z Lonią.

— I cóż?... — spytała siostra ciekawie.

— Nic... tak sobie!... — odparłem, nie patrząc jej w oczy.

— Prawda, jaka ona dobra, jaka ładna?...

— Ach, nic mnie to nie obchodzi. Właśnie prosi cię, żebyś tam przyszła.

— Ale ty nie pójdziesz?

— Nie.

— Dlaczego? — spytała Zosia, zaglądając mi w oczy.

— Dajże mi spokój!... — oburknąłem. — Nie pójdę, bo mi się nie podoba...



Musiało być coś bardzo stanowczego w moim głosie, skoro siostra, już nie zadając mi dalszych pytań, wyszła. Widząc, że prawie biegnie, zawołałem ją przez okno:

— Zosiu, tylko proszę cię, nic tam nie mów... Powiedz, zem... że trochę boli mnie głowa.

— No, no, nie bój się. Ja ci nie zaszkodzę.

— Pamiętaj, Zosiu, jeżeli mnie choć trochę kochasz.

Naturalnie, żeśmy się bardzo serdecznie ucałowali.

Trudno dziś odgrzebać w pamięci uczucia, jakie mnie szarpały po odejściu Zosi. Jak to Lonia śmiała rozmawiać ze mną w podobny sposób?... Wprawdzie nauczyciele, a szczególnie inspektor traktowali mnie dość familiarnie, no — ale to starzy ludzie. Lecz między kolegami w pierwszej (obecnie już w drugiej) klasie cieszyłem się poważaniem. A tu na wsi — proszę posłuchać, jak rozmawiał ze mną ojciec, jak mi się kłaniali parobcy, ile razy mówił pisarz: „Panie Kazimierzu, może pozwoli pan do mnie na fajeczkę?”. Ja mu na to: „Dziękuję panu, nie chcę się przyzwyczajać”. A on: „Jaki pan szczęśliwy, że pan ma taką moc nad sobą... Pan nie dałby się i guwernantce...”.

Odpowiednio do postępowania starszych, ja także byłem poważny. Przecie sam ksiądz proboszcz mówił do ojca: „Patrzaj, mości dobrodzieju, panie Leśniewski, co to szkoła robi z chłopaka. Ten Kazio rok temu był wisus i pędziwiatr, a dziś, mości dobrodzieju, to statysta, to Metternich...”.

Tak mnie sądzili ludzie... I trzeba wypadku, żeby jakaś koza, która ani jednej klasy nie widziała, ażeby ona śmiała mi powiedzieć, że — „to do kawalera bardzo podobne!...”. Kawaler?... co mi za dorosła panna! Że zna jakiegoś Adasia, to już zadziera głowę. Cóż ten Adaś? Skończył trzecią klasę, a ja idę do drugiej. Wielka różnica! Jak będzie osioł, to go dogonię, a nawet przegonię. Jeszcze, w dodatku do wszystkiego, każe mi iść po Zosię, jakbym ja był jej

lokajczukiem. Zobaczymy, czy cię drugi raz usłucham!... Słowo daję, że jeżeli kiedy odezwie się z czymś podobnym, to po prostu — włożę ręce w kieszenie i odpowiem: „Tylko proszę sobie tak nie pozwalać!”. A nawet lepiej: „Moja Loniu, widzę, że nie nauczyłaś się grzeczności...”. Albo nawet tak: „Moja Loniu, jeżeli chcesz, ażebym się z tobą wdawał...”.

Czułem, że mi nie przychodzi dobra odpowiedź, i to mnie coraz więcej drażniło. Musiałem się nawet zmienić na twarzy, bo nasza gospodyni, stara Wojciechowa, dwa razy wchodziła do pokoju, patrząc na mnie spod oka, aż nareszcie odezwała się:

— O, dla Boga, a czego to Kazio taki markotny?... Czy co Kazio zwojował, czy może z panem co?...

— Nic mi nie jest.

— Już ja widzę, że nie, nic przede mną się nie zatai. Jakaś co zmalował, to od razu idź do ojca i przyznaj się.

— Ale nic nie zrobiłem. Trochem się zmęczył i tyle.

— Jakaś się zmęczył, to se odpocznij i podjedz. Zaraz dam ci chleba z miodem.

Wyszła i za chwilę powróciła z ogromnym kawałem chleba, z którego miód aż kapał.

— Ale ja nie będę jadł, dajcie mi spokój!...

— Co nie masz jeść? Bierz ino prędko, bo mi miód po palcach ucieka. Podjesz se, to się zaraz rozweselisz. Człowieka zawsze trapi, kiedy głodny, ale jak se podje, zaraz mu się w głowie przetrze... No, ino weź do garści!

Musiałem wziąć, bojąc się, ażeby mi nie okapała miodem włosów albo munduru. Machinalnie zjadłem i naprawdę zrobiło mi się trochę lżej w sercu. Pomyślałem, że jakoś dam sobie radę z Lonią i że warto by także biednego Walka poczęstować, bo on pewnie miód rzadko jadał, a zresztą — już go lubiłem.

Na moje żądanie Wojciechowa, widząc tak błogi skutek lekarstwa, ukroiła mi jeszcze większy kawałek chleba, nie żałując miodu. Ostrożnie zabrałem prowiant i wyszedłem szukać chłopca.

Znalazłem go nieopodal od kuchni. Rozmawiali z nim, śmiejąc się, dwaj parobcy, którzy przywieźli drzewo z lasu.

— Jak cię jeszcze raz matka zbije — mówił jeden — to zabierz się i idź w świat. Co, pójdiesz?...

— Kiej nie wiem jak — odparł Walek.

— Weź buty na kij i aby za las. Tam światu dosyć.

— Kiej butów nie mam.

— To weź sam kij. Z kijem i bez butów zajdziesz...

Zobaczywszy mnie, chłopiec uciekł w stronę łąpianu.

— Co wy mu tak mówicie? — zapytałem parobków.

— Nic, kpinkujemy se z niego. Zwyczajnie jak z głupiego.

Czując, że miód zaczyna mi walać palce, nie wdawałem się z nimi w dalszą rozmowę, lecz poszedłem za Walkiem.

Stał między zielskiem i patrzył na mnie.

— Walku! — zawołałem — masz tu chleb z miodem.

Nie ruszył się.

— No, chodźże... — i postąpiłem parę kroków.

Chłopiec zaczął uciekać.

— Och! jakiś ty głupi... No, masz chleb, kładę ci go, ot tu...

Położyłem na kamieniu i odszedłem. Ale dopiero gdy się skrył za węglem kuchni, chłopiec zbliżył się do kamienia, począł ostrożnie chleb oglądać i nareszcie — zjadł go, o ile mi się zdaje, z apetytem.

W godzinę później, idąc w stronę lasu, spostrzegłem, że chłopiec drepcze za mną w pewnej odległości. Zatrzymałem się i on stanął. Gdym zawrócił do domu, odskoczył na bok i skrył się w krzakach. Ale po małej chwili znowu biegł za mną.

Tego dnia dałem mu drugi raz chleba. Wziął go z ręki, lecz jeszcze z obawą, i zaraz uciekł. Wszelako od tej pory począł chodzić za mną, zawsze w pewnej odległości.

Od rana krążył pod naszymi oknami jak ptak, któremu przyjacielska ręka sypie ziarno. Wieczorem siadał pod kuchnią i patrzył na naszą oficynę. Dopiero gdy światło zgasło, szedł spać na płachtę za piec, gdzie mu świerkały nad głową świerszcze.

W kilka dni po pierwszym spotkaniu z Lonią, ulegając namowom Zosi, poszedłem z nią do parku.

— Wiesz — zapewniała mnie siostra — że Lonia bardzo tobą zajęta. Ciągłe mówi o tobie, gniewa się, żeś wtedy nie wrócił, i wypytuje, kiedy przyjdiesz.

Cóż dziwnego, że uległem, tym bardziej że mnie samego coś ciągnęło do Loni. Zdawało mi się, iż wtedy dopiero skończą się moje tęsknoty wywołane śmiercią Józia, gdy zacznę chodzić z Lonią pod rękę i prowadzić z nią poważne rozmowy. O czym mianowicie? — nie wiem do dziś dnia. Czuję tylko, że chcę pięknie mówić, dużo mówić i — mieć jedynego słuchacza w Loni.

Na myśl o przechadzkach we dwoje coś grało mi w piersiach jak arfy, migotało jak słońce w kroplach rosy. Ale rzeczywistość nie zawsze odpowiada marzeniom. Toteż gdy prowadzony przez siostrę spotkałem znowu Lonię, odezwałem się do niej z zamiarem rozpoczęcia owych idealnych rozmów:

— Czy pani lubi łapać ryby?

W tej chwili dziewczęta wzięły się pod ręce, zaczęły szeptać, biegać po alei i śmiać się jak szalone. Oszupiałem, obracając w palcach wędkę, dla zrobienia której małom nie dostał kopytem od siwego konia za to, że mu wyrwał z ogona włosień.

Już zabierałem się do odejścia obrażony, gdy wróciły dziewczęta, a Zosia rzekła:

— Lonia prosi cię, żebyście mówili sobie po imieniu.

Ukloniłem się, milcząc z zakłopotania, a one znowu w śmiech i pobiegły w stronę sadzawki.

— Wie kawaler... — zaczęła Lonia, lecz wnet poprawiła się:

— Wiesz, Zosiu, że mama stanowczo nie pozwala nam pływać czólnem. Powiedziałam, że nas będzie woził twój brat, ale mama...

Wyszeptała Zosi jakiś długi frazes do ucha; ja jednak od razu zgadłem, o co chodzi. Pewnie mama boi się, ażebym nie potopił dziewcząt, ja, taki pływak i uczeń drugiej klasy!...

Byłem zawstydzony. Spostrzegła to Lonia i nagle rzekła:

— Niech kawaler...

Znowu poprawiła się:

— Poproś, Zosiu, brata, ażeby nam urwał lilii wodnych. One takie ładne, a ja ich nigdy nie miałam w rękę.

Duch we mnie wstąpił. Przynajmniej teraz pokażę, co umiem.

Dużo lilii rosło w sadzawce, ale nie przy brzegu, tylko trochę dalej. Ułamałem pręt i wszedłem na huśtające się czółno.

Lilie mają jakby sprężyste łodygi. Zaczepione prętem zbliżały się, lecz wnet odpływały. Ułamałem kij dłuższy, zakończony rodzajem haczyka. Tym razem udało mi się lepiej. Mocno pochwycona lilia przyplynęła tuż, tuż... Wyciągnąłem lewą rękę, jeszcze za daleko. Klękam na dziobie łódki, wychylam się i już mam zerwać kwiat, gdy nagle — padam na wodę jak długi, pręt wymyka mi się z ręki, a lilia znowu odpływa.

Panny w krzyk... Ja wołam: „To nic! to nic! tu płytko!...”. Wylewam wodę z czapki, kładę ją na głowę i

brodząc po pas w sadzawce, a po kolana w błocie, zrywam jedną lilię, drugą, trzecią, czwartą...

— Kaziu! na miłość boską, wracaj!... — woła z płaczem siostra.

— Dosyć, już dosyć!... — wtóruje jej Lonia.

Ja nie słucham. Rwę piątą, szóstą i dziesiątą lilię, a potem liście.

Wyszedłem z sadzawki zmoczony od stóp do głów, zabłocony powyżej kolan i na rękawach. Na brzegu Zosia płacze, Lonia nie chce brać kwiatów, a za nimi kryje się żółty ze strachu — Walek...

Widzę, że Lonia ma także łzy w oczach, lecz nagle zaczyna się śmiać:

— Patrz, Zosiu, jak on wygląda!...

— Boże! co powie tatko?... — woła Zosia. — Mój Kaziu, umyjże sobie przynajmniej twarz, boś cały zamazany.

Machinalnie dotykam nosa zabłoconą ręką. Lonia ze śmiechu aż siada na murawie. Zosia także śmieje się, ocierając oczy, a nawet Walek otwiera usta i wydaje głos podobny do beczenia.

Teraz jego spostrzegają dziewczynki.

— Co to jest? — pyta Zosia — skąd on się tu wziął?

— On tu przyszedł za twoim bratem — odpowiada Lonia. — Widziałam go, jak się skradał między krzakami.

— Boże! jaki on ma kapelusz!... Czego on chce od ciebie, Kaziu?... — mówi siostra.

— Chodzi za mną od kilku dni.

— Aha! to pewnie Kazio z nim się bawił, kiedy od nas uciekał... — odzywa się ironicznie Lonia. — Patrz, Zosiu, jak oni obaj wyglądają — jeden zalany wodą, a drugi nieumyty... Oj, zaśmieję się!...

To zestawienie z Walkiem wcale mi się nie podobało.

— No, mój Kaziu, umyjże się i idź do domu przebrać się, a my pójdziemy tymczasem do altanki — rzekła Zosia, podnosząc Lonię, która z nadmiaru uciechy była bliska spazmów.

Odeszły. Zostałem ja, Walek i — pęk lilii na trawie, których nikt nie podniósł.

„Takaż to nagroda za moje poświęcenie?” — pomyślałem z goryczą, czując błoto w ustach. Zdjąłem czapkę. Strach, co się z niej zrobiło!... Podobna do ścierki, a daszek w jednym miejscu odłazi. Z munduru, z kamizelki, z koszuli strugami płynie woda. Pełno jej w butach, aż skwierczy, gdy się ruszę, czuję, że z płótna robi się na mnie sukno, z sukna skóra, a ze skóry drewno. A tam, w stronie altanki, słyszę jeszcze śmiech Loni, która moją przygodę opowiada guwernantce.

Za chwilę przyjdą tu. Chcę się umyć, lecz nie dokończywszy uciekam, bo już idą!... Już w alei widzę ich suknie, słyszę wydziwianie guwernantki. Przecięły mi drogę do domu, zawracam w inną stronę ku płotowi.

— Gdzież on jest? — zapytuje krzykliwie guwernantka.

— O, tam, tam!... uciekają obaj — odpowiada Lonia.

Teraz widzę, że Walek krok w krok biegnie za mną. Dopadam płotu, on za mną. Włazę na żerdzie, on także. I kiedy obaj, zwrócenii twarzami do siebie, siedzimy na płocie jak na koniu, w krzakach ukazuje się Lonia, Zosia i guwernantka.

— Ach! i ten przyjaciel!... — krzyknęła Lonia ze śmiechem.

Zeskoczyłem z płotu i pędem przez pole w stronę naszej oficyny, a Walek wciąż dotrzymuje mi towarzystwa.

Widocznie bawi go ta obława, bo otwiera usta i wydaje głos beczący, który ma oznaczać zadowolenie.

Stałem wściekły z gniewu.

— Mój kochany, czego ty chcesz ode mnie?... Czego się za mną włóczysz?... — rzekłem do chłopca.

Walek zdumiał się.

— Idź sobie ode mnie, idź sobie precz!... — mówiłem zaciskając pięści. — Narobiłeś mi wstydu, wszyscy śmieją się ze mnie... Jeżeli mi jeszcze kiedy wleziesz w drogę, zbiję cię...

Powiedziawszy to, odszedłem, a chłopiec został. Gdym oddalił się o kilkadziesiąt kroków i odwróciłem głowę, zobaczyłem go w tym samym miejscu. Patrzył na mnie i głośno płakał.

Wpadłem do naszej kuchni jak upiór, a gdziekolwiek stąpiłem, zostawała struga wody. Na mój widok spłoszone kury z gdakaniem i rozpuszczonymi skrzydłami rzuciły się do okien, dziewczuchy zaczęły się śmiać, a Wojciechowa uderzyła w rękę.

— Słowo stało się ciałem!... A tobie co?... — krzyknęła babina.

— Nie widzicie?... Wpadłem w sadzawkę i basta!... Niech mi Wojciechowa da płócienne ubranie, buty, koszulę... Tylko prędzej.

— Zgryzota moja z tym Kaziem! — odpowiedziała Wojciechowa. — Do kitła pewno guziki nieprzyszyte... Kaśka, rusz ino się, poszukaj butów!

Zaczęła mi rozpinąć i zdejmować mundur przy pomocy drugiej dziewczuchy. Poszło jako tako, ale z butami był ambaras. Ani w prawo, ani w lewo. Wreszcie zawołały do pomocy fornała. Musiałem położyć się na tapczanie, Wojciechowa z dziewczuchami trzymały mnie pod ramiona, a fornał ściągał buty. Myślałem, że mi nogi powykręca. Za to w pół godziny byłem już jak lalka — wytarty, przebrany i uczesany. Nadbiegła Zosia i przyszyła mi guziki do



płóciennego uniformu. Wojciechowa zmoczoną odzież wykręciła, wyniosła na strych i — cicho.

Ojciec jednak, wróciwszy do domu, wiedział już o wszystkim. Popatrzył na mnie drwiąco, pokiwał głową i rzekł:

— Oj, ty ośle, ośle!... Pójdź teraz do Loni, żeby ci sprawiła nowe majtki.

Wnet ukazał się pan gorzelany. I ten mnie obejrzał, naśmiał się, ale podsłuchałem, jak mówił do ojca w kancelarii:

— Żwawy chłopak! za dziewczuchami wlezie w ogień... Tak jak my, za młodych lat, panie Leśniewski.

Domyśliłem się, że cały folwark wiedział o mojej uprzejmości dla Loni, i byłem bardzo zawstydzony.

Nad wieczorem przyszła dziedziczka, Lonia i guwernantka, a każda z nich, o dziwo! miała przy sukni — lilią wodną... Chciałem schować się pod ziemię, uciec, ale — zawołano mnie i stanąłem przed obliczem pań.

Uważałem, że guwernantka przypatruje mi się bardzo życzliwie. Zaś pani hrabina pogłaskała mnie po czerwonej twarzy i dała mi kilka cukierków.

— Mój chłopczyku — rzekła — bardzo pięknie, żeś taki greczny, ale proszę cię, nie woź nigdy panienek czółnem. Dobrze?...

Pocałowałem ją w rękę i coś mruknąłem.

— Ale i sam także nie pływaj. Przyrzekasz mi?

— Nie będę pływał.

Potem zwróciła się do guwernantki i coś pogadała po francusku. Usłyszałem kilka razy powtórzony wyraz: „hero”. Na nieszczęście, usłyszał go i ojciec i odezwał się:

— Oj, ma pani hrabina racją. Herod, prawdziwy Herod!...

Panie uśmiechnęły się, a po ich odejściu Zosia usiłowała wytłumaczyć ojcu, że „Hero” pisze się „hèros”, a po francusku nie znaczy Heroda, tylko bohatera.

— Bohater? — powtórzył ojciec. — On taki bohater, że zamoczył mundur i podarł majtki, a ja beknę Szulimowi ze dwadzieścia złotych. Niech diabli wezmą bohaterstwo, za które inni muszą płacić!

Prozaiczne poglądy ojca dużo mi sprawiły przykrości. Dziękowałem jednak Bogu, że się tylko na nich skończyło.

Odtąd widywałem się z Lonią nie tylko w parku, ale i w pałacu. Jadłem tam parę razy obiad, co napędziło mi dużo kłopotu, i prawie co dzień podwieczorek, na który dawano kawę albo poziomki, albo maliny z cukrem i ze śmietanką.

Często rozmawiałem ze starszymi paniami. Hrabina dziwiła się memu odczytaniu, które zawdzięczałem bibliotece garbuska, a guwernantka, panna Klementyna, po prostu zachwyciła się mną. Tę ostatnią sympatią zawdzięczam nie tyle mojej erudycji, ile rozmowom o pisarzu, o którym wiedziałem, gdzie pilnuje roboty i co myśli o panie Klementynie. W końcu światła ta osoba zwierzyła mi się, iż wcale nie myśli wyjść za mąż za pisarza, lecz pragnie tylko podnieść go moralnie. Oświadczyła mi, że według jej pojęć rola kobiet w świecie polega na podnoszeniu mężczyzn i że ja sam, gdy urosnę, muszę spotkać w życiu taką kobietę, która mnie podniesie.

Wykłady te bardzo mi się podobały. Coraz też gorliwiej znosiłem panie Klementynie wiadomości o pisarzu, a jemu o panie Klementynie, za co pozyskałem życzliwość obojga.

O ile dziś sobie przypominam, w pałacu życie było osobliwe. Do hrabiny co kilka dni przyjeżdżał jej narzeczony, a panna Klementyna po parę razy na dzień odwiedzała te zakątki parku, z których mogła zobaczyć pisarza, a przynajmniej — jak mówiła — usłyszeć dźwięk jego głosu, zapewne wówczas, kiedy wymyślał parobkom. Ze swej strony panna służąca płakiwała kolejno w rozmaitych oknach za tymże pisarzem, a reszta fraucymeru, naśladowując

zwierzchność, dzieliła swe uczucia między lokaja, chłopca kredensowego, kucharza, kuchcika i stangreta. Nawet serce starej Salusi nie było wolne. Panowały w nim indyki, gąsiory, koguty i kapłony, tudzież ich różnopióre i różnokształtne towarzyski, w gronie których gospodyni całe dni przepędzała.

Rzecz prosta, że w tak zajęтым otoczeniu nam, dzieciom, schodził czas swobodnie. Bawiliśmy się od rana do wieczora i tylko wówczas widywaliśmy osoby starsze, gdy wołano nas na obiad, na podwieczorek albo na spoczynek.

Dzięki tej wolności moje stosunki z Lonią ułożyły się w sposób dość oryginalny. Ona mi mówiła przez parę dni „Kaziu”, później „ty”, posługiwała się mną, nawet krzyczała na mnie, a ja — wciąż nazywałem ją „panią”, coraz rzadziej mówiłem, ale coraz częściej słuchałem. Niekiedy budziła się we mnie duma człowieka, który za rok może pójść do trzeciej klasy. Wtedy przeklinałem ową chwilę, kiedym to Lonię po raz pierwszy usłuchał, idąc na jej rozkaz po siostrę. Mówiłem sobie:

— Cóż to ona myśli, że ja u niej jestem w służbie, jak mój ojciec u jej matki?...

Tym sposobem buntowałem samego siebie, postanawiałem, że się to musi zmienić. Lecz na widok Loni całkiem opuszczała mnie odwaga, a jeżeli nawet i zdołał zatrzymać jakąś resztkę, to znowu Lonia wypowiadała swoje rozkazy z taką niecierpliwą prośbą, tak tupała nóżką, że musiał wszystko zrobić. A kiedy raz, złapawszy wróbla, nie oddałem jej go natychmiast, zawołała:

— Nie chcesz, to nie!... Obejdę się bez twego wróbla...

Była tak obrażona i taka ciekawa, że ją począł zaklinać, ażeby wzięła wróbla. Ona nie i nie!... Ledwie ją przebłagał, naturalnie przy pomocy Zosi, i jeszcze mimo to przez kilka dni musiałem słuchać żalów.

— Ja bym ci takiej przykrości nigdy w życiu nie zrobiła. Wiem teraz, jakiś ty stały! Pierwszego dnia skoczyłeś w wodę, ażeby mi lilij narwać, a już wczoraj nie chciałeś mi nawet pozwolić, żebym trochę pobawiła się ptaszkiem. Wiem już wszystko... O! żaden inny chłopiec nie postąpiłby ze mną w taki sposób.

A kiedy po wszelkich możliwych wyjaśnieniach prosiłem ją w końcu, ażeby się choć nie gniewała, odparła:

— Czy ja się gniewam?... Ty najlepiej wiesz, że się na ciebie nie gniewam. Mnie tylko było przykro. Ale jak mi było przykro, tego sobie nikt nie wyobrazi... Niech ci powie Zosia, jak mi było przykro.

Wtedy Zosia z uroczystą miną wytłumaczyła mi, że Loni było bardzo, ale to bardzo przykro.

— Zresztą niech ci powie sama Lonia, jak jej było przykro — zakończyła moja kochana siostrzyczka.

Odsyłany od Annasza do Kajfasza po bliższe określenie stopnia owej przykrości, zupełnie straciłem głowę.

Stałem się maszyną, z której panienki robiły, co im się tylko podobało, bo lada cień samodzielności z mojej strony wyrządzał przykrość albo Loni, albo Zosi, którą obie te panie odczuwały do spółki.

Gdyby biedny Józio wstał z grobu, nie poznałby mnie w tym cichym, posłusznym, zahukanym kawalerze, który wiecznie po coś chodził, coś nosił, czegoś szukał, o czymś nie wiedział, na czymś nie znał się i co kilka minut był strofowany. A gdyby to widzieli moi koledzy!...

Pewnego dnia panna Klementyna była bardziej zajęta niż zwykle. Pisarz bowiem miał jakiś dozór przy stajniach, o kilkanaście kroków od jej ulubionej altanki. Korzystając z tego, wymknęliśmy się we troje za park, do tych krzaków, gdzie rosły jeżyny.

Strach, ile ich tam było! Co krok kępa, a na każdej gąszcz jeżyn czarnych i wielkich jak śliwki. Z początku zbieraliśmy je razem, zamieniając między sobą wykrzykniki podziwu i zadowolenia. Wkrótce jednak zamilkliśmy i rozeszliśmy się każde w swoją stronę. Nie wiem, jak tam dziewczęta, ale ja, utonawszy wśród najgęstszych kęp, zapomniałem o świecie. Co to były za jeżyny!... Dziś nie ma nawet takich ananasów.

Zmęczony stanem — usiadłem, zmęczony siedzeniem — położyłem się na krzakach jak na sprężynowym fotelu. Było tu tak ciepło, tak miękko i obficie, że nie wiem, skąd pomyślałem, iż właśnie tak musiało być Adamowi w raju. Boże! Boże! dlaczego ja nie byłem Adamem? Do dziś dnia na przeklętym drzewie rosłyby jabłka, bo dla zerwania ich nie chciałoby mi się nawet ręki podnieść nad głowę...

Rozciągając się jak wąż pod ciepłym słońcem, na giętkich krzakach, czułem nieopisane szczęście głównie z tego powodu, że nie mogłem zupełnie nie myśleć. Czasem przewracałem się na wznak, głową niżej niż reszta ciała. Poruszone wiatrem liście głaskały mnie po twarzy, a ja patrzyłem w ogromne niebo i z niezgłębionym zadowoleniem wyobrażałem sobie, że mnie wcale nie ma. Lonia, Zosia, park, obiad, wreszcie szkoły i pan inspektor, wydawały mi się snem, który niegdyś był, ale już przeszedł, może sto lat temu, a może i tysiąc. Biedny Józio w niebie wciąż zapewne doświadcza tych uczuć. Jaki on szczęśliwy!...

W końcu już mi się i jeżyn odechciało. Czułem, jak łagodnie unoszą mnie krzaki, widziałem każdą chmurkę, z wolna sunącą się po błękitnie, słyszałem szelest każdego liścia, ałem sam nic nie myślał.

Nagle coś szarpnęło mnie. Zerwałem się na równe nogi, nie pojmując, co się dzieje. Przez mgnienie było cicho jak i pierwej, lecz w tejże chwili usłyszałem płacz i krzyk Loni:

— Zosiu!... Panno Klementyno!... na pomoc!...

Jest coś strasznego w krzyku dziecka: „Na pomoc!...”. Przemknęły mi przez głowę wyrazy: żmija! Tarnina chwyciła mnie za odzież, oplątywała nogi, szarpała, odpychała, nie!... ona mocowała się ze mną, biła się ze mną jak żywy potwór, a tymczasem Lonia wołała: „Na pomoc!... Boże, mój Boże!...” — a ja rozumiałem tylko jedną rzecz, jasną jak słońce, że tu muszę dać pomoc albo sam zginąć.

Zmęczony, podrapany, a najbardziej — przerażony, przedarłem się w końcu do tego miejsca, gdzie słyszał płacz Loni.

Siedziała na krzaku drżąc i załamując ręce.

— Loniu!... co tobie?... — zawołałem do niej pierwszy raz po imieniu.

— Osa!... osa!...

— Osa?... — powtórzyłem rzucając się ku niej. — Ukąsiła cię?...

— Jeszcze nie, ale...

— Więc cóż...

— Chodzi po mnie...

— Gdzie?...

Z oczu jej płynęły łzy. Była bardzo zawstydzona, ale strach przemógł.

— Włazła mi w pończoszkę... O, Boże... Boże, Zosiu!...

Ukląknę przed nią, ale jeszcze nie śmiałem szukać osy.

— Więc wyjmij ją — rzekłem.

— Kiedy się boję. O, Boże!...

Drżała jak w febrze. Zdobyłem się na szczyt odwagi.

— Gdzie ona jest?

— Teraz chodzi mi po kolanie...

— Nie ma jej ani tu, ani tu.

— Już jest wyżej... Ach! Zosiu, Zosiu!...

— Ależ i tu jej nie ma...

Lonia zasłoniła twarz rękoma.

— Musiała schować się w sukienkę... — rzekła płacząc jeszcze rzewniej.

— Jest!... — zawołałem. — To mucha...

— Gdzie?... Mucha?... — spytała Lonia. — Prawda, że mucha! Ach, jaka duża... Byłam pewna, że to osa. Myślałam, że umrę... Boże! jaka ja głupia.

Obtarła oczy i od razu zaczęła się śmiać.

— Zabić ją czy puścić? — spytałem Loni, pokazując jej nieszczęsnego owada.

— Jak ci się podoba — odpowiedziała już zupełnie spokojnie.

Chciałem muchę zabić, ale — nie miałem serca. A ponieważ i skrzydła, i ona sama była bardzo zmięta, więc — ostrożnie położyłem ją na liściu.

Tymczasem Lonia przypatrywała mi się nader pilnie.

— Co tobie?... — nagle spytała.

— Nic — odpowiedziałem, usiłując się roześmiać.

Uczułem, że siły gwałtownie mnie opadają.

Serce uderzało mi jak dzwon, zaczęło mi się ćmić w oczach, zimny pot wystąpił na całe ciało i klęcząc — zachwiałem się.

— Co tobie, Kaziu?...

— Nic... tylko myślałem, że ci się trafiło jakie nieszczęście...

Gdyby mnie Lonia nie pochwyciła i nie oparła mi głowy na swych kolanach, byłbym rozbił nos o ziemię.

Jakaś ciepła fala uderzyła mi do głowy, usłyszałem szum w uszach i znowu głos Loni:

— Kaziu!... kochany Kaziu... co tobie?... Zosiu!... o Boże, on zemdlął... Cóż ja tu pocznę, nieszczęśliwa?...

Objęła mnie rękoma za głowę i zaczęła całować. Na całej twarzy czułem jej łzy. Było mi jej tak żal, że zebrałem resztę sił i z trudem dźwignąłem się.

— Nic mi nie jest!... nie bój się!... — zawołałem z głębi piersi.

Istotnie chwilowe osłabienie minęło tak prędko, jak przyszło. W uszach przestało szumieć, wzrok mi się wyjaśnił, podniosłem głowę z kolan Loni i patrząc jej w oczy, śmiałem się.

Teraz ona zaczęła się śmiać.

— Ach, ty niepocziwy, ach ty niedobry!... — mówiła — żeby mi narobić takiego strachu. Jakże ty mogłeś zemdleć przez takie głupstwo?... Gdyby to nawet była osa, to by mnie przecież nie zjadła... I co ja bym robiła tu z tobą?... Ani wody, ani ludzi, Zosia gdzieś poszła, a ja sama musiałabym ratować takiego dużego chłopca. Wstydz się!

Naturalnie, że się wstydział. Czy można ją było tak przestraszyć?

— Cóż, jakże ci jest? — pytała Lonia. — Ech! już pewnie dobrze, boś nie taki blady. Pierwej byłeś blady jak płótno.

— No — dodała po chwili — będę ja się mieć z pyszna, jak się mama o tym dowie!... Ach, Boże! boję się nawet wracać do domu...

— O czym mama się dowie? — spytałem.

— O wszystkim, a najgorzej o tej osie...

— Więc nie mów nikomu.

— Cóż z tego, że ja nie powiem... — rzekła, odwracając głowę.

— Może myślisz, że ja powiem?... — odparłem. — Jak ojca kocham, tak nikomu ani słówka.

— A Zosi?... Ona jest dobra do sekretu.

— Ani Zosi. Nikomu.



— Choć i bez tego wszyscy się dowiedzą. Ty jesteś taki podrapany, potargany... Ale, czekaj no!... — dodała po chwili i obtarła mi twarz chustką. — Boże! czy ty wiesz, że ja ciebie nawet pocałowałam ze strachu, bom już nie wiedziała, co robić. Żeby się kto o tym dowiedział, spaliłabym się ze wstydu, choć, naprawdę, z osą byłby także kłopot. Ach! co ja mam zmartwienia przez ciebie...

— Ale nie masz się czego obawiać — pocieszałem ją.

— Tak, nie mam! Wszystko się wyda, bo masz pełno liści w głowie. Zresztą zaczekaj, ja cię uczeszę. Byle tylko z jakiego krzaka nie podglądała nas Zosia. Ona jest dobra do sekretu, ale zawsze...

Lonia wzięła ze swych włosów półkolisty grzebień i zaczęła mnie czesać.

— Ty zawsze jesteś potargany — mówiła. — Powinieneś czesać się tak, jak wszyscy panowie... O, tak!... Mieć przedział z prawego boku, nie z lewego. Gdybyś miał włosy czarne, byłbyś taki piękny jak narzeczony mej mamy. Ale żeś blondyn, więc uczeszę cię inaczej. Będiesz teraz wyglądał jak aniołek, co jest pod Madonną. Wiesz, który... Szkoda, że nie mam lusterka.

— Kaziu! Loniu!... — zawołała w tej chwili Zosia, gdzieś od strony parku.

Zerwaliśmy się oboje, a Lonia była naprawdę przełęczniona.

— Wszystko się wyda! — rzekła. — Och! ta osa!... A najgorsze to, żeś zemdłał...

— Nic się nie wyda! — odparłem energicznie. — Ja przecie nic nie powiem.

— Ani ja. Nie powiesz nawet, żeś zemdłał?...

— Naturalnie.

— No, no!... — dziwiła się Lonia. — Bo ja, żebym zemdłała, to bym nie mogła wytrzymać...

— Kaziu! Loniu!... — wołała moja siostra już o kilkanaście kroków od nas.

— Kaziu! — szepnęła Lonia kładąc palec na ustach.

— Już nie bój się!

Zaszeleściły krzaki i ukazała się Zosia ubrana w fartuszek.

— Gdzieś ty była, Zosiu? — zapytaliśmy ją oboje.

— Chodziłam po fartuszek dla siebie i dla ciebie, Loni. Masz oto, bo jeżyny walają.

— Czy zaraz wracamy do domu?...

— Nie ma po co — odparła Zosia. — U mamy jest ten pan, a panna Klementyna ani myśli wyjść z altanki. Możemy tu siedzieć choćby do wieczora. Ale już zaczynam rwać jeżyny, boście wy więcej zjedli ich niż ja.

Zaczęły rwać obie, a ja także jakoś nabrałem na nowo ochoty do jedzenia.

Widząc, że oddalam się, Lonia zawołała za mną:

— Kaziu, wiesz, o czym myślę!...

I pogroziła mi palcem.

W tej chwili po raz nie wiem który przysięgłem sobie, że nikomu nie wspomnę ani o moim zemdleniu, ani o tej musze. Ledwie jednak odszedł kilka kroków, usłyszałem głos Loni:

— Żebyś ty wiedziała, Zosiu, co się tu działo!... Ale nie, nie mogę ci powiedzieć ani słówka. Chociaż gdybyś mi przysięgła, że dotrzymasz sekretu...

Uciekłem jak najdalej w gąszcz, czując, że się wstydzę. No, chociaż Zosia...

Na owych nieszczęsnych jeżynach byliśmy jeszcze z godzinę. Gdyśmy stamtąd wracali do domu, dostrzegłem wielką zmianę sytuacji. Zosia patrzyła na mnie ze zgrozą i ciekawością. Lonia wcale nie patrzyła, a ja byłem tak zmieszany, jakbym popełnił morderstwo.

Żegnając się z nami, Lonia serdecznie ucałowała Zosię, a mnie — kiwnęła głową. Zdjąłem przed nią czapkę, myśląc, że jestem wielki gałgan.

Po odejściu Loni Zosia wzięła mnie w obroty.

— Dowiedziałam się pięknych rzeczy! — rzekła z powagą.

— Cóżem ja zrobił? — zapytałem na dobre przestraszony.

— Jak to co? Naprzód zemdlałeś (ach! Boże, i mnie przy tym nie było...), no a potem ta osa czy mucha... Okropność... Biedna Lonia! Ja umarłabym ze wstydu.

— Ale cóżem ja temu winien? — ośmieliłem się spytać.

— Mój Kaziu — odparła — przede mną nie potrzebujesz się tłumaczyć, bo przecież ja ci nic nie zarzucam. Ale zawsze...

„Ale zawsze...” — to mi odpowiedź!... Z tego „ale zawsze” wypadało, że w całej sprawie ja jeden jestem winien. Mucha nic, Lonia, która wniebogłosey krzyczała, także nic, tylko ja, za to żem biegł na ratunek.

Prawda, ale po co zemdlałem?...

Byłem niepoczyszony. Na drugi dzień wcale nie poszedłem do parku, byle tylko nie pokazywać się Loni, a na trzeci — ona kazała mi przyjść. Gdym przyszedł, kiwnęła mi głową z daleka i rozmawiała tylko z Zosią, rzucając na mnie od czasu do czasu spojrzenia dumne i smutne jak na zbrodniarza.

Chwilami myślałem, że jednak dzieje mi się tu jakaś niesprawiedliwość. Wnet przecie tłumilem podobne podejrzenia mówiąc sobie, żem naprawdę zrobił coś strasznego. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że taka metoda stanowi charakterystyczną cechę kobiecej logiki.

Tymczasem dziewczynki chodziły po ogrodzie poważnym krokiem, ani myśląc o skakaniu przez sznur, tylko

szeptać coś między sobą. Nagle Lonia zatrzymała się i rzekła głosem bolejącym:

— Wiesz, Zosiu, taki mam apetyt na czarne jagody...  
Aż mi pachną...

— To ja zaraz przyniosę — odezwał się z pośpiechem. — Znam w lesie jedno miejsce, gdzie jest ich bardzo dużo.

— Będiesz się fatygował?... — odpowiedziała Lonia, obrzucając mnie melancholijnym wejrzeniem.

— Cóż to szkodzi? Niech idzie, kiedy chce — wtrąciła Zosia.

Poszedłem tym śpieszniej, że mi już w ogrodzie zaczynało być duszno wobec tylu grymasów. Mijając kuchnię usłyszałem, że panienki śmieją się, a gdym od niechcienia zajrzał przez parkan, spostrzegłem, że w najlepsze skaczą przez sznur. Widać, że tylko wobec mnie zachowywały tak uroczyście miny.

W kuchni był piekielny hałas. Matka Walka płakała i klęła, a stara Salusia wymyślała jej za to, że Walek stłukł talerz.

— Dałam mu — jęczała pomywaczka — temu hyclowi talerz, żeby se wylizał, a on, podlec, buch! go na ziemię i jeszcze uciekł. Oj! jeżeli ja cię dziś nie zabiję, to mi chyba ręce i nogi odejmie...

A potem wołała:

— Walek!... chodź mi tu zaraz, psiawiaro, bo z ciebie będę pasy darła, jak wnet nie przyjdiesz.

Zrobiło mi się żal chłopca i chciałem załagodzić sprawę. Pomyślałem jednak, że mogę zrobić to samo wróciwszy z lasu, bo Walek chyba dopiero w nocy pokaże się w kuchni i — poszedłem w swoją stronę.

Las był odległy od folwarku na jakie pół godziny drogi, może i dalej. Rosły w nim dęby, sosny, leszczyna, a poziomek

i czarnych jagód było tyle, ile kto mógł zebrać. Z brzegu trochę pastusi przerzedzili jagody, głębiej było ich więcej, zajmowały takie płaty ziemi jak dziedziniec.

Dostawszy się w te okolice narwałem jagód całą czapkę i całą chustkę, sam mało jedząc, bom się śpieszył. Pomimo to upłynęła godzina albo i dłużej, nim obładowany zdobyczą zabrałem się do powrotu. Nie szedłem prosto, alem trochę nakładał drogi, gdyż w ogóle pociągała mnie przechadzka po lesie.

Gdy idziesz ku gąszczowi, drzewa wyraźnie ustępują ci, niby robią miejsce. Ale spróbuj, posuwając się naprzód, odwracać głowę. Podają sobie gałęzie jakby ręce, pień zbliża się do pnia, potem nawet zaczynają się stykać i ani się spostrzeżesz, kiedy wyrośnie za tobą pstra ściana, głęboka, nieprzebyta...

Nic łatwiejszego, jak wtedy zbłądzić. Gdziekolwiek ruszysz się, wszędzie jest jednakowo, wszędzie drzewa rozsuwają się przed tobą, a zbiegają za tobą. Zaczynasz pędzić, one także pędzą wciąż za ciebie, byle ci odciąć odwrót. Stajesz — one stają i zmęczone chłodzą się gałęźmi jak wachlarzami. Poruszasz głową na prawo i na lewo szukając drogi i widzisz, że niektóre z drzew kryją się za innymi, jakby chcąc cię przekonać, że jest ich mniej, niż sądzisz.

O! las to rzecz niebezpieczna. Tam każdy ptak szpieguje, gdzie idziesz, każde ziółko chce ci oplątać nogi, a nie mogąc, przynajmniej szelestem donosi o tobie innym. Tak on widać tęskni za ludzką twarzą, że raz ją zobaczywszy używa wszelkich podstępów, by ją zatrzymać na zawsze.

Już słońce miało się ku zachodowi, kiedym wyszedł na pole. O paręset kroków spotkałem Walka. Szedł prędko w stronę lasu, podpierając się wysokim kijem.

— Gdzie ty idziesz? — zapytałem go.

Nie uciekał przede mną. Stanął i wskazując żółtą rączyną na las odparł cicho:

— Het! het!...

— Niedługo będzie noc, wracaj do domu.

— Kiej mnie matula strasznie chcą zbić...

— Chodź ze mną, to cię nie zbije.

— O, zbije...

— No, chodź, zobaczysz, że nic ci nie robi — rzekłem, zbliżając się do niego.

Chłopak cofnął się, ale nie uciekał; zdawało mi się, że się waha.

— No, chodźże...

— Kiedy boję się...

Znowum się zbliżył, a on znowu się cofnął. To wahanie się i cofanie obdartego chłopca zniecierpliwiło mnie. Tam Lonia czeka na jagody, a on targuje się ze mną o powrót?... Nie mam na to czasu.

Prędko poszedłem ku folwarkowi. Byłem chyba w połowie drogi do domu, gdy odwróciłem głowę i zobaczyłem Walka na wzgórku pod lasem. Stał ze swym kijem w ręku i patrzył na mnie. Wiatr powiewał szarą koszuliną, a podarty kapelusz w promieniach zachodzącego słońca błyszczał mu na głowie jak ognisty wieniec.

Coś mnie tknęło. Przypomniałem sobie, jak go namawiali parobcy, ażeby wziął kij i poszedł w świat. Czyżby?... Nie, on przecie taki głupi nie jest. Zresztą nie mam czasu wracać do niego, bo pogniotą mi się jagody, a tam Lonia czeka...

Pędem przybiegłem do domu, chcąc przesypać jagody do koszyka. Na progu Zosia powitała mnie — rzewnym płaczem...

— Co to jest?...

— Nieszczęście — szepnęła siostra. — Wszystko się wydało... Tatko stracił miejsce u pani...

Jagody wysypały mi się z czapki i z chustki.  
Schwytiłem siostrę za rękę.

— Zosiu, co ty mówisz?... co się tobie dzieje?...

— Tak jest. Tatko już nie ma miejsca. Lonia pod sekretem powiedziała guwernantce o tej osie, a guwernantka pani... Kiedy tatko przyszedł do pałacu, pani kazała, żeby ciebie natychmiast wywiózł do Siedlec. Ale tatko odpowiedział, że... wszyscy wyjedziemy razem...

Zaczęła strasznie płakać.

W tej chwili zobaczyłem ojca na dziedzińcu.  
Podbiegłem naprzeciw i bez tchu upadłem mu do nóg.

— Mój serdeczny tatku, com ja narobił!... — szeptałem, obejmując go za kolana.

Ojciec podniósł mnie, pokiwał głową i odparł krótko:

— Głupiś, idź do domu.

A potem rzekł jakby do siebie:

— Jest tu inny majster, który nas stąd wypędza, bo myśli, że stary plenipotent nie pozwoliłby mu przegrać majątku sieroty. I ma rację!

Odgadłem, że mówi o narzeczoną naszej pani. Zrobiło mi się lżej na sercu. Pocałowałem szorstką rękę ojca i odezwałem się trochę śmielej:

— Bo, widzi tatko, byliśmy na jeżynach... Lonię ugryzła osa...

— Głupiś jak osa. Nie brataj się z paniętami, to nie będziesz polował na osy i nie zniszczysz majtek w sadzawce. Idź do domu i nie wylaż mi za próg, dopóki stąd wszyscy nie wyjadą.

— Oni jadą?... — ledwie wyszeptał.

— Jadą do Warszawy na kilka dni, a wrócą, kiedy nas już tu nie będzie.

Smutno zeszedł wieczór. Na kolację były doskonałe kluseczki z mlekiem, ale żadne z nas nie jadło. Zosia obcierała czerwone oczy, a ja układałem desperackie projekty.

Przed położeniem się spać cicho wszedłem do pokoiku siostry.

— Zosiu — rzekłem do niej stanowczo — ja... muszę się ożenić z Lonią!...

Spojrzała na mnie przestraszona.

— Kiedy?... — spytała.

— Wszystko jedno.

— Ależ teraz ksiądz proboszcz nie da wam ślubu, a później ona będzie w Warszawie, a ty w Siedlcach... Zresztą, co by powiedział tatko, pani?...

— Widzę, że nie chcesz mi pomóc — odpowiedziałem siostrze i nie pocałowawszy jej na dobranoc, wyszedłem.

Od tej chwili nie pamiętam już nic. Mijały dni i noce, a ja wciąż leżałem w łóżku, przy którym siedziała albo moja siostra, albo Wojciechowa, a czasami felczer. Nie wiem, czy mówiono przy mnie, czy mi się tylko marzyło, że Lonia już wyjechała i że Walek gdzieś przepadł. Raz nawet zdawało mi się, że widzę nad sobą zapłakaną twarz pomywaczki, która łkając pytała:

— Paniczu, gdzieście widzieli Walka?...

Ja? Walek?... Nic nie rozumiałem. Ale później przyszło mi do głowy, że zbieram jagody w lesie i że zza każdego drzewa patrzy na mnie Walek. Wołam go, on ucieka — gonię za nim, lecz nie mogę dopędzić. Tarnina chwyta mnie i odpycha, jeżyny oplątują nogi, drzewa tańczą, między pniami porośniętymi mchem miga szara koszulina chłopca.

Niekiedy marzyłem, że ja sam jestem Walek, to znowu, że Walek, Lonia i ja jesteśmy jedną osobą. Przy tym zawsze widywałem las albo gęste krzaki, zawsze ktoś wołał mnie na pomoc, a ja — nie mogłem ruszyć się z miejsca.



Strach, com wycierpiał.

\* \* \*

Gdym podniósł się z łóżka, był już koniec wakacji i należało jechać do szkół. Parę dni jeszcze przesiedziałem w mieszkaniu i dopiero w wigilię wyjazdu, przed wieczorem, wywlokłem się na dziedziniec.

W pałacu okna były zasłonięte roletami. Więc oni naprawdę wyjechali?... Zaszedłem pod kuchnię, upatrując Walka. Walka nie było. Spytałem o niego jakiejś dziewczuchy.

— Oho! — paniczu — odparła — nie ma już Walka...

Bałem się pytać o więcej. Poszedłem do parku.

Boże, jak tu smutno... Bez myśli włóczyłem się po wilgotnych ścieżkach, bo niedawno deszcz padał. Trawa pożółkła, sadzawka jeszcze bardziej zarosła, w czólnie pełno wody. W alei głównej stały wielkie kałuże, w których przeglądał się mrok. Ziemia czarna, pnie czarne, gałęzie obwisły, liście więdną. Smutek szarpał mi duszę i z głębi raz po raz wydobywał jakiś cień. To Józia, to Loni, to Walka.

Wtem wionął wiatr, zaszumiały wierzchołki drzew i z chwiejących się gałęzi zaczęły padać duże krople jak łzy. Bóg widzi, że płakały drzewa. Nie wiem, czy nade mną, czy za moimi przyjaciółmi, ale to pewne, że — razem ze mną...

Ciemno było, kiedym wyszedł z parku. W kuchni parobcy jedli wieczerzę. Za kuchnią, w polu, zobaczyłem figurę kobiecą. Przy niepewnym świetle, które spływało na ziemię z jasnego paska obłoków, poznałem pomywaczkę. Patrzyła na las i mruzczała:

— Walek... Walek!... a wracajże do domu... O, coś ty mi zgryzoty narobił, ty niecnoto, niecnoto...

Uciekłem pędem do domu, bom myślał, że mi serce pęknie.

Bolesław Prus  
*Grzechy dzieciństwa*

Redakcja:  
*Hanna Milewska*

Projekt okładki:  
*STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition  
by FUNDACJA FESTINALENTE 2014

Warszawa 2014

ISBN 978-83-7904-243-2

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINALENTE

[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)